

INFORMACJE HISTORYCZNE I KULTURALNE Z GMINY PILCHOWICE



**ROZMOWA
Z KATARZYNA BELKIUS**

strony 6-9



KILKA SŁÓW OD REDAKTORA...

Drodzy Czytelnicy,

Gdy trwalismy przez dwa lata w czasie pandemicznym, wielu ekspertów powtarzało, że świat jaki znamy, już nigdy nie wróci. Trudno było to sobie wyobrazić, ale jak się ma do tego rosyjska inwazja na Ukrainę? Czy byliśmy w stanie wyobrazić sobie regularną wojnę w Europie w XXI wieku? Czy braliśmy pod uwagę, że mogą mieć jeszcze kiedykolwiek miejsce barbarzyńskie akty wobec ludności cywilnej? Myślę, że wielu spraw nie dopuszczamy do naszej świadomości, uznając, że nasza cywilizacja, jakkolwiek mająca swoje problemy, jest już tak zaawansowana na każdym polu, w tym etycznym i moralnym, że pokój i dobrobyt jest dany na zawsze.

Chciałbym tu odnieść się do naszej lokalnej społeczności, która tak wspaniale już od pierwszych godzin organizowała się na przeróżnych polach, aby wesprzeć Ukrainę w tym krytycznym czasie. Było to i jest niezwykle budujące, że tak szybko zorganizowano zbiórki, transport z granicy, a przede wszystkim schronienie pod własnym dachem. Ilość informacji w mediach społecznościowych, rozmów telefonicznych, współpracy różnych podmiotów, pokazała jak wielkie mamy serca. Pozwalam sobie dlatego na trochę prywaty i chciałbym każdemu z Państwa podziękować. W takich chwilach czuje się ogromną dumę z bycia Polakiem. Podziękowania są potrzebne, bo jak się okazało, z tak wielkim wyzwaniem uchodźczym świat nie mierzył się od czasów II wojny światowej. Polska pokazała, co zadziwia cały świat, że nie będziemy ludzi gromadzić w jakichś namiotach, obozach, tylko przyjemy ludzi do siebie. Teraz trzymajmy kciuki za naszych dzielnych sąsiadów, aby jak najszybciej wywalczyli swoją wolność i mogli odbudować kraj. Bądźmy dalej wspaniali i wspierajmy naszych ukraińskich Gości.

Jak wspominałem na początku, pandemia odeszła prawdopodobnie do przeszłości, a tym samym nasza instytucja oddycha pełną piersią i nie zwalnia. Za nami sporo wydarzeń scenicznych i warsztatów, wróciły wszystkie zajęcia, a dodatkowo staramy się też pomagać naszym gościom z Ukrainy. Niebawem będziemy spotykać się w plenerze. Już dzisiaj zapraszamy na XI Bieg Damrota (4 czerwca) i Gminny Dzień Dziecka (5 czerwca), którego nam brakowało najbardziej przez ostatnie dwa lata. Rezerwujcie sobie pierwszy weekend czerwca i widzimy się w pilchowskim Parku Damrota.

pozdrawiam
Waldemar Pietrzak
redaktor naczelny
dyrektor GOK Pilchowice



Powiat Gliwicki i Gmina Pilchowice
zapraszają na:

XI BIEG IM. KSIĘDZA KONSTANTEGO DAMROTA

Bieg główny + Nordic Walking (6 km)

- start: godzina 10.00, Park Damrota, Bieg Zapewnić od godz. 9.30-9.35
- dystans: 6 km, 10 km (trasa dotychczas wyłożona i oznaczona, 6 km dla Nordic Walking)
- rejestracja online: www.zawodypiłchowice.pl
- wpisowe: 25 zł (rezerwacja online)

Mini Bieg

- start: od godz. 10.30
- dystans: minimum 100 m

Współorganizator:

Bieg wspierają:

Partnerzy:

Patronat medialny:

Regulamin oraz inne informacje dotyczące biegu znajdują się na stronie: www.gok-pilchowice.pl

INFORMACJE HISTORYCZNE I KULTURALNE Z GMINY PILCHOWICE

Wydawca:
Gminny Ośrodek Kultury w Pilchowicach
ul. Karola Miarki 123,
44-189 Wilcza

Redaktor naczelny:
Waldemar Pietrzak

Kolegium redakcyjne:
Karol Hrubiesz, Ingemar Klos
Ryszard Pławewski, Agnieszka Robok,
Genowefa Suchecka,
Anna Surdel, Krzysztof Waniczek.
www.historiapilchowice.pl

Projekt graficzny i skład:
Fabryka Pomysłów PR Krzysztof Krzemiński

Druk: Drukarnia Advert, Chorzów

Nakład: 1000 egz.

redakcja@historiapilchowice.pl
ISSN 2544-1094

DOBRO JEST W NAS

Dobro, które dajemy innym jest też dobre dla nas! Wzmacnia nas, nasze otoczenie i mnoży się właśnie wtedy, kiedy się nim dzielimy... Rozmowa z Aleksandrą Kuską i Katarzyną Kocelą-Bardeli – lokalnymi działaczkami, niosącymi – od pierwszego dnia wybuchu wojny na Ukrainie – bezinteresowną pomoc dla naszych wschodnich sąsiadów.

Co było dla Was impulsem do działania?

Aleksandra: Chęć niesienia pomocy, która wywołana była refleksją, że każdy z nas mógłby znaleźć się w takiej sytuacji, w związku z tym, ta pomoc osobom z terenów objętych wojną była dla mnie czymś oczywistym.

Katarzyna: Moją pierwszą reakcją było niedowierzanie, że to się dzieje we współczesnym, cywilizowanym świecie. I kiedy powróciłam pamięcią do opowieści babci z czasów II wojny światowej i historii, to wiedziałam, że jedyne co możemy, a raczej musimy zrobić to – POMAGAĆ naszym sąsiadom. Można powiedzieć, że był to „odruch bezwarunkowy”.

Z czym było najłatwiej (ludzie, miejsce, pomysły)?

A: Najłatwiej było zmobilizować ludzi.

K: Dokładnie, tutaj nie było żadnych barier, właściwie w moim i Oli kręgu znajomych, każdy był gotów nieść wsparcie dla osób z Ukrainy, każdy na swój sposób i swoje możliwości. Spora grupa ludzi sama zgłaszała i zgłasza się do tej pory z propozycją pomocy.

Co stanowiło największe wyzwanie w niesieniu pomocy?

A: Na pewno w pierwszym kontakcie bariera językowa.

K: Nie wiedzieliśmy, czy będziemy potrafili dać takie wsparcie, którego potrzebuje dana osoba. Każdy jest inny. Jedni byli i są otwarci od pierwszego dnia przyjazdu, natomiast są osoby, które mają ograniczone zaufanie, są bardziej wycofane, potrzebują więcej czasu i dodatkowo jest to wzmocnione przeżyciami z tych ostatnich tygodni. Dużym wyzwaniem jest również szukanie bezpiecznego schronienia dla tych rodzin. Często nie chcą się rozdzielać, z wiadomych względów chcą być blisko siebie i wtedy nie jest łatwo znaleźć taką lokalizację.

W większości przypadków załatwianie formalności nie stanowi aż tak dużego problemu, ale trzeba przyznać, że pochłania to sporo czasu, a oczywistym jest, że wszyscy, którzy pomagają mają też swoje obowiązki rodzinne, zawodowe, inne. Na szczęście zarówno urzędnicy, pomagający i sami potrzebujący dają z siebie maximum i wszystko w miarę sprawnie się dzieje.

Czy charakter pomocy ulegał zmianie w czasie organizowania pomocy?

K: Zdecydowanie tak. Najpierw pomoc miała charakter indywidualny, woziliśmy rzeczy na zbiórki, organizowane przez różne organizacje, ale w miarę napływu osób z Ukrainy do naszej Gminy, zaszła potrzeba pomagania na miejscu. I wtedy w pierwszej kolejności wykorzystywało się indywidualne kontakty, ale dla usprawnienia komunikacji Ola założyła grupę na WhatsApp'e, a ja otwartą grupę na Facebook'u – Gmina Pilchowice Pomaga Ukrainie. Uważamy, że na tą chwilę są to najlepsze kanały komunikacji. Usprawnia to przekazywanie sobie konkretnych rzeczy, trafiać bezpośrednio do potrzebujących, a na tą chwilę również szukać pracy dla osób z Ukrainy.

Czy przynoszono „wszystko, co popadnie”, czy też udało się ukierunkować pomoc?

A: Nie da się ukryć, że początki nigdy nie są łatwe. Oczywiście zdarzało się, że były rzeczy uszkodzone, niepotrzebne, ale i tak wierzymy, że było to uwarunkowane chęcią niesienia pomocy i przekonaniem, że „może się przyda”.

K: Kiedy my i inni mieszkańcy Gminy mieliśmy już wiedzę kto, gdzie jest i czego potrzebuje, to były już prośby o konkretne rzeczy. I tutaj właśnie dobrze sprawdzają się założone grupy, na których zgłaszają się ludzie, którzy mogli i mogą pomóc już w konkretnej potrzebie lub informują, czego potrzebują dla osób, które goszczą u siebie.

Jaki był dla Was najbardziej chwytający za serce moment w ciągu tego ostatniego miesiąca niesienia pomocy?

A: Wdzięczność ludzi za pomoc, ale też widoczny strach, czy będą mieli do czego wrócić, rozdarcie wewnętrzne. Przykro jest patrzeć na starszych ludzi, którzy martwią się czy jeszcze wrócą do siebie.

K: Dla mnie była to sytuacja podczas spotkania integracyjnego w Żernicy. W pewnym momencie zawyły syreny Ochotniczej Straży Pożarnej, nie trzeba przypominać, że Dom Kultury stoi niemalże ściana w ścianę ze strażą, więc dźwięk był przeszywający. I na chwilę wszyscy zamarli, dotarło do nas, że dla nich ten dźwięk przez ostatnie tygodnie oznaczał tylko jedno... Uspokoiłyśmy kobiety i dzieci, wytłumaczyłyśmy, że są bezpieczni. Emocje jednak były ogromne, dla obydwu stron.

Osobiście poruszyła mnie jeszcze jedna kwestia... Spotkałam kilka osób, które otwarcie powiedziały, że mogły nie zabierać ubrań, drogocennych rzeczy, ale musiały zabrać ze sobą swoje pasje – swoje buty do wspinaczki, swoje koraliki i narzędzia do rękodzieła, czy ukochaną książkę kucharską. Zabrali ze sobą rzeczy, które dają im wewnętrzną siłę, dzięki którym mogą poczuć odrobinę normalności. W obliczu wojny ważnym stało się, żeby pozostać sobą, nie zgubić tego, co nosi się w sercu i jest to niebawem wzruszające dla mnie.

Myszę, że mieszkańcy naszej Gminy stanęli na wysokości zadania. Ich pomoc jest ogromna i nie kończy się na zakwaterowaniu, przyniesieniu ubrań i pożywienia. Pomagają w organizacji szkół, szukaniu pracy i dążą do usamodzielniania się naszych nowych mieszkańców.

Pamiętajmy, że dobro, które dajemy innym jest też dobre dla nas, wzmacnia nas, nasze otoczenie i mnoży się właśnie wtedy, kiedy się nim dzielimy.

Monika Kuśtra-Polak
i Krzysztof Krzemiński



DZIAŁALNOŚĆ STOWARZYSZENIA PILCHOWICZANIE PILCHOWICZANOM W PIERWSZYM KWARTALE 2022 ROKU



Początek roku 2022 to rekordowe ilości zachorowań na covid-19, co w dalszym ciągu nie pozwoliło na powrót do naszych cotygodniowych spotkań czy na organizację babskiego combru, który do czasu pandemii odbywał się każdego roku w karnawale. Mimo wszystko staraliśmy się coś robić. Ponownie wzięliśmy aktywny udział w 30. finale Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Członkinie Stowarzyszenia Pilchowiczanie Pilchowiczanom tradycyjnie już zrobiły domowy makaron, który został sprzedany na aukcjach WOŚP prowadzonych przez Gminny Ośrodek Kultury w Pilchowicach. W ten sposób Stowarzyszenie dorzuciło cegiełkę do wspianej akcji Jurka Owsiaka.

Pod koniec zeszłego roku wydaliśmy czwartą książkę z serii „Pilchowice – nasze dziedzictwo” pt. „Niezwyczajni ludzie”. Na początku roku, mimo braku spotkań, staraliśmy się rozprowadzić ją wśród członków SPP, co udało się dzięki Danucie Hadasz. W jej sklepie odzieżowym można było odebrać książkę o niezwykłych ludziach związanych na przestrzeni wieków z Pilchowicami. Wszyscy zainteresowani zostali powiadomieni esemesami o takiej możliwości. Książka została wydana dzięki współpracy z Gminą Pilchowice.

Pogoda na początku roku pozwoliła na kontynuowanie prac przygotowawczych niezbędnych przed montażem nowego krzyża z piaskowca przy ul. Dworcowej. Został wylany solidny fundament pod krzyż – beton zasponsorowała firma Global Beton Sp. z o.o. z Rybnika.

W połowie lutego zostały przywiezione elementy krzyża wraz z postumentem i figurą Matki Boskiej. Tym razem pogoda nie pozwoliła na impregnację piaskowca i prace zostały wstrzymane. W marcu, z pieniędzy pozyskanych podczas naszych zbiórek publicznych w poprzednich latach, kupiliśmy figurę Jezusa Chrystusa na krzyż, która została dodatkowo zaimpregnowana dzięki pomocy naszego księdza proboszcza Dariusza Gołka.

Włączyliśmy się również w organizację pomocy dla uchodźców z Ukrainy. Przez trzy tygodnie gotowaliśmy codziennie zupy dla ponad dwudziestoosobowej grupy. W tej akcji wzięło udział jedenastoro członków SPP. Należy podkreślić, że wszelkie półprodukty były darowane przez osoby gotujące. W akcję zaangażowała się również Cukiernia Surdel.

Przestaliśmy gotować z chwilą usamodzielnienia się tej grupy uchodźców.





Cztery członkinie SPP pomagały w zbiórce darów zorganizowanej przez Gminę Pilchowice segregując i pakując rzeczy hojnie przynieszone przez mieszkańców Pilchowic.

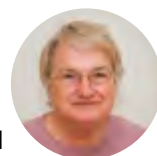
Inna czteroosobowa grupa o czwartej w nocy przyjmowała wraz z pracownikami Urzędu Gminy i Gminnego Ośrodka Kultury w Pilchowicach grupę uchodźców, która została skierowana do

Pilchowic na salę Damrota 5.

Kolejny raz przed świętami Agnieszka Robok zorganizowała wśród dzieci akcję robienia pocztówek świątecznych dla mieszkańców Domu Pomocy Społecznej dla Dzieci i Młodzieży Zakonu Ojców Kamilianów. Włączyło się pilchowickie przedszkole i w sumie dzieci wykonały rekordową ilość kartek wielkanocnych – blisko 110 sztuk. Dzięki temu kartki świąteczne w tym roku otrzymali również podopieczni Domu Pomocy Społecznej w Kuźni Nieborowskiej.

Jak widać – nie przestaliśmy angażować się w bieżące sprawy. Z pewnym optymizmem patrzymy na opadającą falę zachorowań i planujemy po dwuletniej przerwie stopniowo wracać do naszej szerokiej działalności. Już teraz serdecznie zapraszam na spotkania.

Anna Surdel



ROZMOWA Z KATARZYNA BELKIUS - SOPRANISTKĄ, ARTYSTKĄ TEATRU WIELKIEGO OPERY NARODOWEJ, MIESZKANKĄ KUŹNI NIEBOROWSKIEJ

O życiu artystki operowej, nominacji do Fryderyków, muzyce, która zawsze była w domu dzięki babci i miłości do koni

A.R.: Opowiedz nam na początek jak to się stało, że z Kuźni Nieborowskiej trafiłaś na scenę Opery Narodowej.

K.B. Kiedy byłam dzieckiem dostałam taki mały keyboard. Zaczęłam coś grać ze słuchu i rodzice uznali, że warto mnie posłać na lekcje. Zaczęłam więc chodzić do ogniska muzycznego. Następnym etapem był egzamin wstępny do szkoły muzycznej. Trafiłam do klasy fortepianu pani Ani Spalek. To wspaniała kobieta. Kiedy myślę, kto bardzo wpłynął na moją muzykalność i na to, jak postrzegam muzykę, to jest to właśnie ona. Bardzo pilnowała tego, żebym mogła wyrazić siebie poprzez muzykę, nawet już jako dziecko. Dawała mi zawsze dużo swobody. Byłam bardzo ambitna, dużo ćwiczyłam. Byłam w stanie wstać rano przed szkołą, żeby godzinę poćwiczyć. Ćwiczyłam też podczas lekcji WF-u, z których zawsze

się zwalniałam. Widziałam, ile pracy wymaga gra na fortepianie. Wszyscy namawiali mnie, żebym poszła do szkoły średniej. Ale ja chciałam mieć czas na życie towarzyskie i na konie (bo już wtedy zaraziłam się tą pasją). Mama bardzo nalegała, żebym nie zmarnowała lat poświęconych na naukę muzyki, więc żeby uspokoić mamę poszłam na wydział wokalny. Byłam nastawiona do tego niezbyt entuzjastycznie. I na początku nie szło mi dobrze. W połowie drugiej klasy nastąpił przełom. Zaczęłam jeździć na konkursy, zdobywać nagrody. Nawiązałam stałą współpracę z Towarzystwem Upowszechniania Muzyki „Silesia”, co dawało mi możliwość częstych występów w różnych miastach Śląska. Potem były studia w Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie śpiewu profesora Jana Ballarina, a później profesor Henryki Januszewskiej - Stańczyk. Studia robiłam w trybie

indywidualnym będąc jednocześnie uczestniczką Akademii Operowej. Do Akademii trafiłam mając 21 lat. Pierwszy etap egzaminu odbywał się w sali orkiestrowej Opery Narodowej. Pamiętam, jakie to na mnie zrobiło wrażenie. Przyznam, że czułam się jak mała dziewczynka z prowincji. Nie liczyłam na wiele. Ale okazało się, że przeszłam do drugiego etapu. Kiedy dostałam e-maila, że zostałam przyjęta, nie mogłam w to uwierzyć. Lekcje w Akademii odbywały się na zasadzie zjazdów, powiedzmy tygodniowych, podczas których uczestniczy się w lekcjach z najróżniejszymi pedagogami. Akademia organizuje też mnóstwo koncertów, które dają szansę obycia się ze sceną. Koncerty te często były też nagrywane. A z czasem pojawiły się szanse na występy w spektaklach Opery Narodowej. Zaczęło się od „Czarodziejskiego fletu” Mozarta. Na małej sali opery, sali Emila Młynarskiego, zaśpiewałam rolę Papageny. Rok później śpiewałam już Królową Nocy w tym samym przedstawieniu. W międzyczasie realizowałam partię chóralną w operze „Krakowiacy i górale”, co wiązało się z licznymi wyzwaniem aktorskimi i tanecznymi. Moim debiutem na dużej scenie Teatru Wielkiego Opery Narodowej była rola jednej z siostr w „Ognistym aniele” Prokofiewa. Ostatni, tegoroczny projekt operowy to rola hrabiny Ceprano w „Rigoletto” Giuseppe Verdiego.

A.R.: Dosłownie kilka dni temu ogłoszono listę nominacji do Fryderyków. Znalazła się na niej płyta z nagraniem opery „Faniska” Cherubiniego. Śpiewałaś tam jedną z ról. Gratuluję nominacji. Opowiedz nam o tym projekcie

K.B.: Jest to autorski pomysł Łukasza Borowicza, dyrygenta Filharmonii Poznańskiej, który odkrywa zapomniane utwory muzyczne i przywraca je na scenę, nadając im nowe życie. Nagraliśmy płytę 2 lata temu. Potem mieliśmy koncert w ramach Festiwalu Beethovenowskiego w Warszawie.



Co ciekawe „Faniska” przed naszym nagraniem była ostatni raz wystawiana w 1806 roku podczas premiery w Wiedniu. Inną ciekawostką związaną z tym dziełem jest fakt, iż libretto dotyczy Polski. Akcja rozgrywa się w Sandomierzu, a bohaterami są dwaj skłóceni władcy sąsiednich województw – Zamoski i Rasicki. Tytułowa Faniska to żona jednego z nich. Cała płyta jest dostępna na Spotify. Bardzo polecam, bo jest to piękna muzyka.

A.R.: Jak zaczęła się Twoja współpraca z Filharmonią Poznańską?

K.B.: Trochę sprawił to przypadek. Podczas lekcji z Lechem Napierałą śpiewałam „Pieśń Nai” Moniuszki. W tej chwili do sali przyszła pani Cornelia Much, która szukała kogoś do roli Jadwigi w operze „Faniska”. Po lekcji odezwało się do mnie Stowarzyszenie Beethovenowskie i zaproponowało udział w projekcie. W zeszłym roku w maju dzięki współpracy Filharmonii z Akademią Operową dostałam propozycję zaśpiewania partii sopranu w „Te Deum” Kurpińskiego. Z tym repertuarem odbyły się trzy koncerty z Filharmonią Poznańską: w Pelpinie, Gdańsku i Poznaniu. Był to początek mojej stałej współpracy z Filharmonią. Późną jesienią zeszłego roku śpiewałam partię sopranu w „Requiem” Mozarta.

A.R.: A co planujesz na najbliższy czas?

K.B.: Najbliższe plany to udział w Festiwalu Beethovenowskim w Warszawie, gdzie będę śpiewała partię Donny Anny z mało znanej, ale niezwykle ciekawej opery „Don Giovanni” Giuseppe Gazzanigi. Następnie w czerwcu odbędą się spektakle „Czarodziejskiego fletu” Mozarta w Operze Narodowej w Warszawie. Spektakl, o którym mówię, jest niezwykle oryginalny. Powstał w Komische Oper w Berlinie, a wystawiany jest z ogromnym powodzeniem na całym świecie. Autorem jest Berrie Kosky. W spektaklu nie ma scenografii – jest tylko biała ściana, na której wyświetlane są obrazy w formie komiksu. Aktorzy pojawiają się w specjalnych zapadniach, na różnych wysokościach. I tu ciekawostka – ponieważ śpiewam na wysokości kilku metrów musiałam przejść testy wysokościowe i specjalne szkolenie BHP, a występuję ubrana w specjalne pasy zabezpieczające przed upadkiem.

A.R.: A jak wygląda życie i praca artystki operowej naszych czasów?

Moja praca opiera się na udziale w projektach. Jest w tym oczywiście doza niepewności. Dobrze, kiedy ma się zakontraktowane dwa sezony do przodu, ale jeśli dzieje się coś takiego jak w ostatnim czasie pandemia – zostają bez pracy. Moja praca wiąże się też z ciągłymi wyjazdami, właściwie żyję na walizkach. Do domu przyjeżdżam maksymalnie na tydzień. Przyzwyczałam się już do tego, bo





trwa to już odkąd zdałam do Akademii Operowej. Od tej pory kursuję właściwie między Warszawą a Śląskiem.

A.R.: Czy czujesz się związana ze Śląskiem?

K.B.: Zawsze, kiedy ktoś pyta, to z dumą odpowiadam, że jestem ze Śląska. W obecnych czasach ceni się wszystko, co regionalne – gwarę, kulturę. Często nawet ludzie dopytują o śląskie słowa czy obyczaje. Z babcią „godałam”, bo babcia tak wołała, ale w domu mówiłam po polsku, bo tata jest z Mazur. Podczas ostatnich wakacji tworzyłam drzewo genealogiczne mojej rodziny. Okazało się, że moi przodkowie ze strony mamy – rodziny Winkler i Galwas – przynajmniej od 1780 roku mieszkają na Wilczy i w Kuźni.

A.R. A skąd wzięło się Twoje obecne nazwisko?

K.B.: Belkusz jest nazwiskiem panieńskim mojej babci. Zmieniłam nazwisko rodowe – Poździeń – gdyż było ono dla wielu trudne do wymówienia, szczególnie za granicą. Przy nazwisku Belkusz pozostanę, nawet jeśli wyjdę za mąż – dodaje Kasia ze śmiechem. To po babci Ewie odziedziczyłam zamiłowanie do śpiewu. Babcia urodziła się w Rudach, gdzie od dzieciństwa śpiewała w różnych chórach, m.in. w chorze im. Juliusza Rogera. Potem śpiewała również solo, m.in. na festiwalu w Opolu czy podczas przesłuchań w Warszawie, gdzie zdobyła IV nagrodę. Zawsze też wspominała swój występ w radiu w Raciborzu. Szkoda, że były to czasy wielkiej powojennej biedy i rodziców babci nie było stać na jej edukację muzyczną czy dalsze wyjazdy. Mama powiedziała mi, że babcia dostała kiedyś zaproszenie do Zespołu Pieśni i Tańca Śląsk, ale zabrakło pieniędzy, by zrealizować to marzenie. Dzięki babci w moim domu od dziecka był śpiew. Uczyła nas wielu, wielu piosenek. Babcia miała w repertuarze

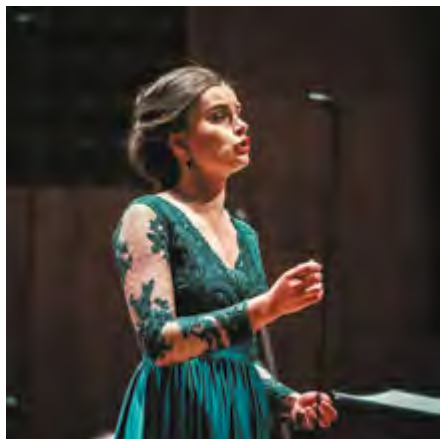


piosenki i przyspiewki naprawdę na każdą okazję. Zresztą znała również wiele przysłów i powiedzeń. Nagrałam sporo tych babci piosenek, bo myślę, że są one unikatowe i niewiele osób je zna i pamięta. Babcia miała kiedyś taki duży zeszyt, w którym spisywała wszystkie śpiewane przez siebie pio-



senki. Niestety kiedyś go komuś pożyczyła i już do niej nie wrócił. Żałuję bardzo. To byłaby bezcenna pamiątka i zapis tych ginących ludowych teksów. Tych piosenek, które ludzie kiedyś nucili siedząc na ławkach przed domem. Kiedy już babcia chorowała, właściwie niedługo przed jej śmiercią odwie-





dziłam ją w szpitalu. Zaproponowałam, że zaśpiewamy razem. Śpiewała ze sporym wysiłkiem, ale jeszcze dorobiła drugi głos. Babcia miała świetny słuch. Zaśpiewałyśmy więc razem jej ulubioną piosenkę „Witaj, witaj ulubiony maju”...

[Pani Emma Winkler - babcia naszej rozmówczyni - zmarła na dzień przed naszą rozmową, 30.03.2022 r.- przyp.red.]

A.R.: Babcia wspierała Twój rozwój muzyczny, a skąd wzięła się miłość do koni?

K.B.: Konie to moja druga pasja. Jednocześnie z rozpoczęciem nauki w szkole muzycznej zaczęłam chodzić na treningi. Potem miałam przerwę na okres liceum. Później, trochę za namową siostry, wróciłam do jeździectwa. Poszłyśmy do stadniny w Wilczej. Tam zobaczyłam moją Ortegę, kasztankę o niesamowitych oczach. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Półtora roku później ją kupiłam. Babcia wspierała moją naukę jazdy konnej tak, jak i była sponsorem wielu kursów

muzycznych, w których brałam udział. A to, żeby mieć swojego konia i swoją stajnię za domem, to były moje dwa wielkie pozamuzyczne marzenia. Teraz mamy już dwa konie, bo miłością do koni зараziłam też siostrę, która kupiła charakternego żrebaka - kasztankę Eufi. Kontakt ze zwierzętami, praca przy koniach to dla mnie forma odreagowania od pracy zawodowej.

A.R.: Na koniec pytanie o Twoje muzyczne marzenia.

K.B.: Moje dwa muzyczne marzenia już się spełniły. Kiedy zaczynałam śpiewać pojechałam do Warszawy na „Rigoletto”. Wtedy na scenie Teatru Wielkiego Opery Narodowej śpiewała Ola Kurzak. Kiedy na koniec wychodziła odbierać wielkie oklaski, myślałam „Ale chciałabym kiedyś zaśpiewać na tej scenie”. I to marzenie się spełniło. A drugie marzenie, to zaśpiewanie partii solowej w „Requiem” Mozarta. Siedząc wtedy na widowni i oklaskując Olę Kurzak, wydawało mi się to nieprawdopodobne. Nieprawdopodobne dla dziewczyny z małej wioski pod Gliwicami. A jednak się udało. Cały czas jest to dla mnie niesamowite. Ale mam jeszcze jedno marzenie - chciałabym zaśpiewać dla mieszkańców naszej Gminy. Czasem znajomi czy sąsiedzi pytają mnie, gdzie można mnie usłyszeć. Odpowiadam, że właściwie to w Warszawie czy Poznaniu. Dla wielu osób jest to zupełnie niedostępne. Chętnie więc wystąpię np. w naszym kościele śpiewając arie i pieśni sakralne.

A.R.: Bardzo mnie cieszy perspektywa koncertu. Życzymy więc wspólnych sukcesów artystycznych i do zobaczenia na koncercie w Pilchowiecach!

Agnieszka Robok
Foto: Dorota Nita-Garbiec



KARTOGRAFIA HISTORYCZNA

– PRZYCZYNNIKIEM DO POZNANIA HISTORII GMINY PILCHOWICE

Zanim przedstawiony zostanie słownik najdawniejszych nazw obejmujący Gminę Pilchowice z jej sołectwami, koniecznym jest wyjaśnienie podziału według prof. Witolda Taszyckiego w toponomastyce (nauce o nazwach miejscowych), która wyróżnia:

- nazwy topograficzne, nadane osadom miejscowym od własności terenu, np. Brzeziny;
- nazwy kulturowe, nadane osadom od wytworów kultury materialnej, np. Dwór;
- nazwy dzierżawcze, wskazujące na właściciela, lub pierwszego mieszkańca osady – miejscowości;
- nazwy etniczne nadane osadom od większej grupy ludności;

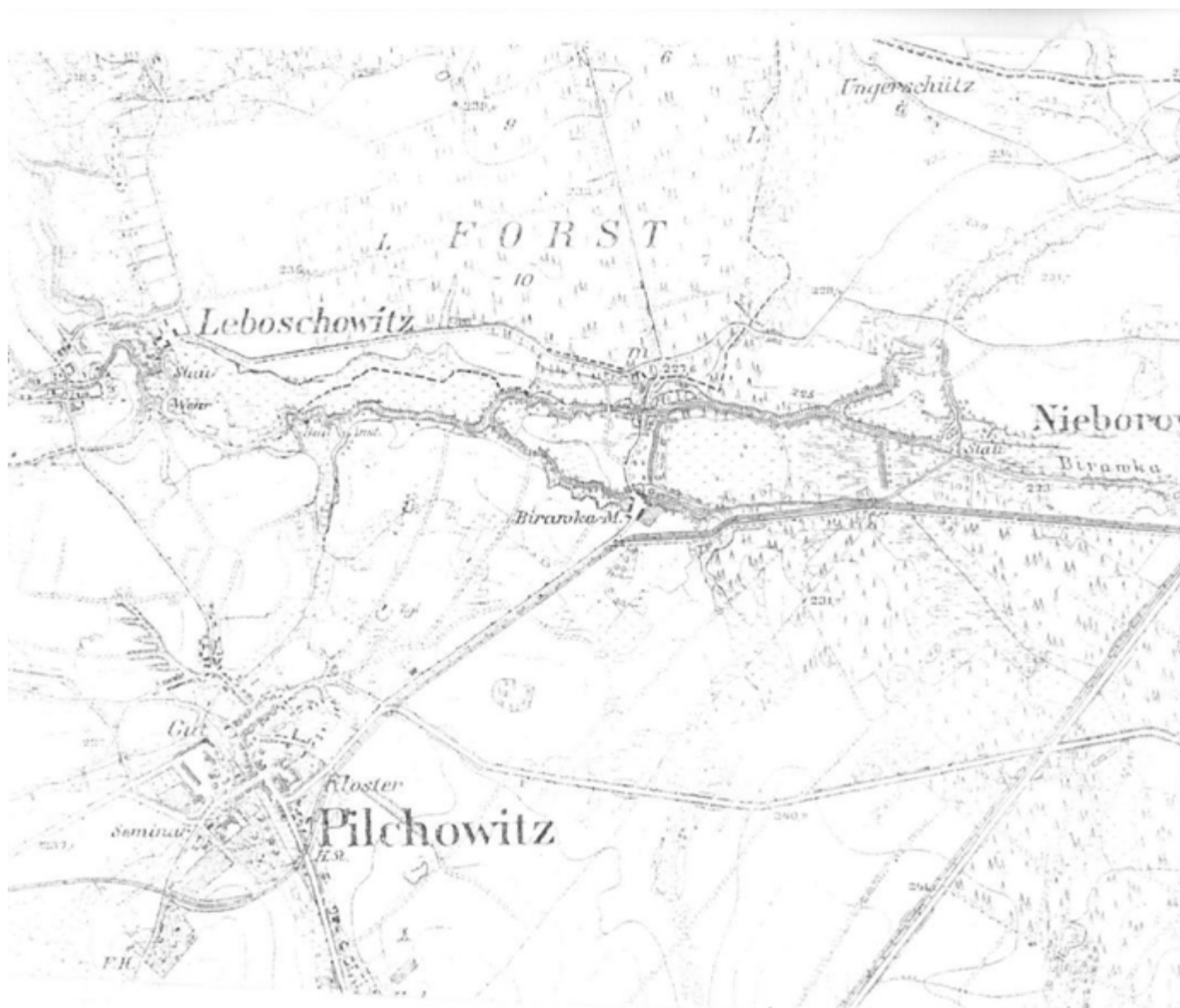
- nazwy patronimiczne, to znaczy odojcowskie, wskazujące czyje dzieci lub potomkowie byli pierwszymi właścicielami;
- nazwy rodowe, nadane miejscowościom od nazw rodzin;
- nazwy służebne, pochodzące od rodzaju służebności, czyli prac wykonywanych przez mieszkańców dawnej miejscowości na rzecz dworu czy też grodu;
- nazwy od innych nazw miejscowych.

Zdarzają się także nazwy dwuznaczne, niejasne. W przedstawionym tu nazewnictwie mamy do czynienia ze znacznymi zmianami i zniekształceniami pisowni, ich staropolska pisownia zmieniała się na przestrzeni wieków.

To wynik naturalnej ewolucji – ich latynizowania, ziemczenia a także czechizowania.

W „Lieber fundationis Episcoparus Wratislaviensis” („Księdze fundacji biskupstwa wrocławskiego” z 1305 roku) wymienione zostały trzy osady Żernica Ziemiańska, Żernica – wieś zakonników z Rud i Pilchowic. Żernica Ziemiańska – łacińska nazwa; syrdnitza semiani należała do ziemianina opolskiego, zaś Żernica będąca pod kuratelą braci zakonnych – cystersów z Rud posiada odrębną nazwę i figuruje pod łacińskojęzyczną nazwą – syrdnicza villa monarchorum de Ruda.

Pilchowice występowało pod nazwą „Pilchowitz”. Wszystkie wymienione osady pod



względem administracji kościelnej należały do biskupstwa wrocławskiego i osadzone były na prawie magdeburskim. Żernica Ziemiańska była własnością szlachcica. Wymienione tu miejscowości zobowiązane były do płacenia świętopietrza na rzecz instytucji kościelnej.

W granicach dzisiejszej gminy Pilchowice znajdują się: Kuźnia Nieborowska, Leboszowice, Nieborowice, Pilchowice, Stanica, Wilcza, Żernica. Najstarszą osadą wśród wymienionych jest Żernica. Tu odkryto ślady gródka stożkowego datowanego na przełom XII-XIII wieku. Teren ten mogły z pewnością zamieszkiwać Gołęszyce, zaś stałe osadnictwo oparte było na prawie niemieckim. Wspomniana w „Lieber foundationis” Żernica była własnością w części osoby świeckiej – ziemianina, w części zaś osadą zakonu cystersów. Rudzcy cystersi wnieśli tak zwaną „konstruktywistyczną myśl gotyku” – zwłaszcza tak przydatną w sadownictwie, architekturze, uprawie roli. Nowatorskie metody proponowane przez zakonników z pobliskich Rud, w ocenie historyków – mediewistów mogły mieć ogromny wpływ na stosunki własnościowe w przygranicznych osadach: Wilczy, Stanicy, Nieborowic, a także na XVI stulecie, kiedy w 1596 roku powstało państwo gliwickie podległe bezpośrednio cesarzowi. Nie wyjaśniono do końca nazwy Pilchowice. Według kryteriów przyjętych przez W. Taszyckiego, będzie to nazwa dzierżawcza, wskazująca na właściciela – Pilcha lub nazwa rodowa (?). Liczne lasy, pastwiska i stawy widoczne na mapie średniowiecznej ziemi śląskiej tworzyły tak zwaną almenę – tereny, z których korzystali wszyscy poddani, według warunków, które określał akt lokacyjny. Łacińskojęzyczny dokument z 1447 roku określał zaś wielkość świętopietrza dla danej osady, w przypadku Żernicy w podwójny sposób: cysterskiej i świeckiej (dziedzica).

Leśny obszar nazywany Wilczą posiadał od początku etymologię polską. Na niemieckojęzycznych mapach w czasach pruskich wyraźnie zaznaczona jest nazwa podwójna tej wiejskiej



Na niemieckojęzycznych mapach z przełomu XIX-XX wieku, w Wilczy Górnej widoczne są tak zwane rządowe zabudowania wilczańskich gospodarzy

osady: Wilcza Górna (Ober Wilcza) i Wilcza Dolna (Nieder Wilcza). Wynikało to z topografii terenu i zabudowań zlokalizowanych wzdłuż traktu: Pilchowice, Rybnik. Lokalizacja osady wiejskiej – Wilcza to typowa rządówka, w przypadku Pilchowic- wielodrożna osada folwarczna.

Na mapie przeglądowej całego Śląska, sporządzonej przez niemieckiego kartografa Tobiasza Maiera „Ducatum Silesiae w 1749 roku w Norymberdze, podane zostały po raz pierwszy długości i szerokości geograficzne Śląska. Dzieło Maiera „Ducatus Silesiae Tabula geographice generalis” sporządzone zostało w kolorze. Górny Śląsk zaznaczono na mapie kolorem żółtym. Pilchowice na mapie widnieją jako „Pilchowitz”; w bliskim sąsiedztwie zaznaczone zostały Rudy – jako „R”.

Kolejne fakty dotyczące Nieborowic i Kuźni Nieborowskiej wyraźnie wskazują na ich niemieckojęzyczne uwarunkowania i oscylowały w kierunku ziemi gliwickiej. Za sprawą Habsburgów, w szczególności zaś Ferdynanda Habsburga ziemia gliwicka znalazła się pod kuratelą niemieckiej dynastii. Trwało to do 1742 roku. Obowiązywała więc niemieckojęzyczna nazwa Nieborowitz¹, a w przypadku Kuźni Nieborowskiej – Nieborowitzer Hammer. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku starsi mieszkańcy nazywali w języku potocznym Kuźnię Nieborowską – „Kuźnicą”. W 1763 roku Pilchowice (i pobliskie

Nieborowice) były własnością hrabiego Józefa Węgierskiego. W 1785 roku hrabia utworzył majorat – ordynację (Tidei commis Pilchowitz) z tak zwanego państwa pilchowickiego. Warto wspomnieć, że rzeka Bierawka – figurowała wtedy pod nazwą „Birawka”, a Leboszowice jako „Leboschowitz”. Na niemieckojęzycznej mapie z początku XX wieku umieszczona została polska nazwa Ober Wilcza, a także rewir „Wrzosa”. Kuźnia Nieborowska (Nieborowitzer Hammer) i dodatkowa nazwa „Wolfshutte” („wilcza huta”). Nazwa sołectwa Stanica to „Stanitz”.

Po zakończeniu II wojny światowej dokonano spolszczenia miejscowości. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku starsi mieszkańcy w języku potocznym używali nazwy „Stanica”. Nazwa ta prawdopodobnie może być utożsamiana z miejscem postoju, jaki przemierzali podróżni w ówczesnym państwie gliwickim jeszcze w czasach pruskich.

Mapy i opracowania kartograficzne stanowią ważny przyczynek do poznania etymologii miejscowości. Z pewnością w kilku przypadkach zmieniające się nazewnictwo przez kolejne stulecia wynikało z błędnej pisowni. Kartografia historyczna jest częścią historii Polski w okresie wszechobecnej komputeryzacji nagromadzonych danych przez stulecia.



Maria Grzelewska

¹ Przez jakiś czas (XVI wiek) używano nazwy „Nieborowitze”!

Już do nas nie napisze...

20 marca br. odeszła od nas pani **Maria Grzelewska**, dla wielu pokoleń absolwentów knurowskiego „ogólniaka”, znana jako „Mańcia”. Jako nauczycielka historii pracowała 35 lat, a potem cały czas była aktywna, także na łamach naszego kwartalnika. Jej teksty, zawsze przesyłane pocztą, w szarożółtych kopertach, na papierze w kratkę i pisane odręcznie, stanowiły miły moment w redakcji, w której wszystko odbywa się online.

Bardzo ciepło wspominam moją wizytę w jej krywańskim domu, gdzie przyjęła mnie herbatą i krótka wizyta zamieniła się w wielogodzinne rozmowy o historii okolicznych miejscowości, postaciach, planach wydawniczych itd. Pani Maria była wyjątkowa w swoim oddaniu pasji i doceniały to wszystkie okoliczne redakcje i jestem przekonany, że także Czytelnicy. Jestem pewien, że to dziedzictwo przetrwa i znajdzie naśladowców. Dziękujemy za wszystko Pani Mario.

Redaktor naczelny wraz z zespołem redakcyjnym



KOLOROWE JARMARKI

Termin **jarmark** wywodzi się z języka niemieckiego od słowa **Jahrmarkt**, czyli coroczny rynek, u nas często używa się go zamiennie z terminem **targ**.

Trudno jednoznacznie nakreślić datę pierwszego targu, jednak na pewno jest ona tak odległa, jak stary jest handel między ludźmi. W różnych cywilizacjach i w różnych epokach organizowano je w podobny sposób. W Chinach prawdopodobnie odbywały się już w XII w. p.n.e., natomiast w Europie Zachodniej najpierw we Francji, a później w innych średniowiecznych państwach stały się powszechne od X wieku.

Targi organizowano cyklicznie, zazwyczaj w tych samych określonych terminach, w konkretny dzień tygodnia, w ściśle wyznaczonych miejscach, natomiast jarmarki najczęściej przy okazji świąt kościelnych, ale i innych uroczystości. Dużą popularnością cieszą się do dziś odpusty, jarmarki bożonarodzeniowe, wielkanocne czy świętojańskie. W takich przypadkach organizatorzy starają się zapewnić gościom wiele atrakcji i przygotowują bogatą ofertę handlowo - gastronomiczną: wypieki i degustacje regionalnych potraw, pokazy dawnych rzemiosł i rękodzieła ludowego, warsztaty dla dzieci, występy zespołów folklorystycznych. Jarmarki świąteczne są okazją do integrowania lokalnego środowiska oraz promowania walorów regionu i lokalnego dziedzictwa.



Mama kiedyś też robiła piękne kroszonki, przyglądałam się też na jarmarkach jak robią to artyści ludowi. Początkowo używałam nożyka do tapet, później brzytwy dziadka, teraz frezarki do paznok-



Wszystkie kroszonki wykonane są techniką rytowniczą i zachwycają swoim pięknem.

„Kilka lat temu, jeszcze jako uczennica (gimnazjum lub szkoły średniej), brałam udział w gminnym konkursie, w którym zdobyłam I miejsce, w 2007 roku w podobnym konkursie organizowanym przez muzeum Willa Caro w Gliwicach otrzymałam Wyróżnienie. W tym roku w konkursie „Górnośląskie kroszonki” organizowanym przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu zajęłam II miejsce w technice rytowniczej”.



Panie z KGW Żernica na jarmarku w Muzeum Wsi Opolskiej

Za nami Święta Wielkanocne; o różnych bogatych, ciekawych zwyczajach, obrzędach i tradycjach, w tym o technikach zdobienia jaj, była już mowa na łamach naszego kwartalnika.

Pisanki i **kroszonki** są obowiązkowym elementem wystroju świątecznego stołu. Wykonanie kroszonek – małych arcydzieł wymaga determinacji, cierpliwości, uwagi, a przede wszystkim talentu.

Patrycja Jonda z Żernicy posiada wszystkie te cechy. „Kroszę od dziecka i odkąd pamiętam zawsze mnie to interesowało. Jestem samoukiem, ale przynajmniej obserwowałam jak robią to inni.



ci. Do farbowania używam barwników do tkanin oraz tuszy kreślarskich. Ozdobienie jednego jajka zajmuje mi dzień lub dwa, w zależności od wzoru, kondycji i czasu”.

Patrycja Jonda



W rozmowie Patrycja podkreśla, że należy do najmłodszych uczestniczek tych konkursów. Ogromnie cieszy fakt, że młodzi ludzie z pasją są wśród nas i pielęgnują tak piękną śląską tradycję w naszej miejscowości.

Gratulujemy i życzymy kolejnych sukcesów.

Genowefa Suchecka



ŚMIERĆ KOMENDANTA

Sprawa dotyczy Antoniego Jamrusa, którego być może pamiętają najstarsi mieszkańcy Wilczy i okolicznych miejscowości. O dziwnych okolicznościach śmierci z 1946 roku oraz historii odtworzonej na podstawie zdjęć opowiedział mi Erwin Sapik. Początkowo strzępki informacji nie pozwalały na rozwinięcie opowieści, ale kropla drąży skałę.

Pewnego dnia zjawił się u mnie kustosz lokalnego muzeum „Klamory u Erwina” i pokazał kilka fotografii przedstawiających orszak pogrzebowy na głównej ulicy w Wilczy. Od razu było widać, że zmarły był kimś ważnym, bo ludzi było co niemiara, a do tego delegacje strażaków, milicjantów, górników. Wspominał, że to milicjant z Wilczy, którego zastrzelili Rosjanie gdzieś na Krywałdzie. W tym momencie brakowało bardziej szczegółowych informacji i temat przeleżał jakiś czas. Poszukiwania tropów w internecie spęły na niczym.

Przełomem okazał się ubiegły rok, gdy tworzyliśmy album fotograficzny o historii Wilczy. Erwin Sapik szukając fotografii w swoich zasobach natrafił na całą kolekcję zdjęć Antoniego, które dodatkowo miały odręczne opisy. Nagle okazało się, że nasz bohater był przedwojennym pogranicznikiem. Zupełnym przypadkiem natrafiliśmy na teczkę jego sprawy w zasobach katowickiego Instytutu Pamięi Narodowej. Od razu zleciliśmy wykonanie kopii. Wiele spraw, które nas nurtowały, zostało wyjaśnionych. Zostaje jednak kilka pytań, które pozostają bez odpowiedzi. Wrócimy do tego na koniec.

Antoni Jamrus urodził się 21 stycznia 1905 roku w Ostojowie, obecnie leżącym w województwie świętokrzyskim. Jak dowiadujemy się z jego życiorysu, po ukończeniu szkoły powszechnej pracował w sklepie rodziców Micha-

ła i Franciszki z domu Malickiej. W 1927 roku zostaje powołany do odbycia służby wojskowej w 39 pułku piechoty w Jarosławiu. W tym czasie kończy szkołę podoficerską i kończy służbę wojskową rok później w stopniu kaprała. Po miesiącu zostaje przyjęty do Straży Granicznej, w której pozostał na służbie do 31 sierpnia 1939 roku. Ukończył kurs w Centralnej Szkole Straży Granicznej, a także siedmimiesięczny kurs tresury psów śledczych. Na dowód tego zachowały się przepiękne fotografie, które prezentujemy w niniejszym artykule. Nie udało się ustalić, kiedy trafia na Górny Śląsk, ale skierowanie na placówkę w Wilczy Dolnej musiało nastąpić na początku lat 30. Poznał tam Jadwigę Kaszek, z którą ożenił się 30 kwietnia 1934 roku. W tym samym roku przyszło na świat ich jedyne dziecko – córka Irena.

Życie przewraca się do góry nogami wraz z rozpoczęciem II wojny światowej. Nie wiemy, jak udaje się mu uniknąć aresztowania, a być może nawet śmierci, co spotkało tysiące polskich pograniczników, policjantów i oficerów Wojska Polskiego. Z powojennego życiorysu dowiadujemy się, że podczas okupacji był bezrobotny i przebywał z żoną i dzieckiem w rodzinnych stronach.

28 kwietnia 1945 powrócił z rodziną do Wilczy, a 6 czerwca złożył podanie do Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Rybniku



Antoni z córką

o przyjęcie do służby, najlepiej na posterunku w Wilczy. Bardzo szybko otrzymał awans na Komendanta Posterunku MO w Knurowie, cieszył się szacunkiem i uznaniem podwładnych i przełożonych. Nadchodzi feralny dzień 11 marca 1946 r., a przebieg zdarzeń przedstawiamy na podstawie zeznań i protokołu wypadku.

Na knurowskim posterunku dzwoni telefon. Nadeszło zgłoszenie z majątku w Wilczy Górnej, prawdopodobnie chodzi o majątek po Georgu Kowatzu. Milicjant Bolesław Krawczyk, który przyjął rozmowę, informuje komendanta Jamrusa, że niejaki Stanisław Sobon zgłosił, że został

nr 2 (21) 2022 kwiecień

INFORMACJE HISTORYCZNE I KULTURALNE Z GMINY PILCHOWICE

Strona 13



Zdjęcie z wesela



Antoni Jamrus siedzi w dolnym rzędzie, pierwszy z prawej



Antoni z psem tropiącym

napadnięty i okradziony przez trzech rosyjskich żołnierzy. Funkcjonariusze siadają na motocykle i jadą w kierunku Krywałdu. W Szczygłowicach zauważają trzech podejrzanych. Zatrzymują się. Z oddali zbliża się cywil, który krzyczy i gestykuluje. To poszkodowany, który od razu wskazuje milicjantom złodzieja. Dochodzi do napiętej sytuacji, gdyż jeden z Rosjan jest uzbrojony w pepeszę. Komendant rozkazuje im się poddać i złożyć broń, Rosjanin z pepeszą nie zgadza się. Jamrus zarządza więc, że ich odprowadzi na posterunek. Tu pojawia się nieścisłość w zeznaniach świadków, jeden twierdzi, że do pobliskiego posterunku w Szczygłowicach, raport natomiast, że na komisariat w Knurowie. Jak dziwny

był to czas, niech świadczy fakt, że „osobnicy” w radzieckich mundurach nie chcieli oddać broń, a milicjant pewnie miał w głowie, że może podpaść za nadmierną wrogość wobec bratniego narodu. Zastanawiający jest też przebieg kolejnych minut. Jamrus prowadzi trójkę Rosjan po swojej prawej stronie, najdalej od niego ten z pepeszą. Po lewej stronie komendanta idzie Soboń, prowadząc motocykl Jamrusa. Za nimi swój motocykl prowadzi drugi milicjant Krawczyk. Pominąwszy dość absurdalną procedurę, choć mogła być ówczesnie stosowna, to sytuacja cały czas była na krawędzi.

W pewnym momencie Rosjanie proszą o możliwość postoju i proszą o ogień komendan-



Zdjęcie ślubne Jamrusów



Kondukt pogrzebowy

ta, który ze względu na to, że nie pali, odwraca się do Sobonia. Rozlega się seria z pepeszy. Jamrus pada natychmiast martwy, Soboń ucieka do lasu. Kolejna seria skierowana w stronę drugiego milicjanta nie osiąga celu. Rosjanie kradną broń komendanta i znikają w lesie. Krawczyk i Soboń, którzy cudem zachowali życie, zawieźli furmanką zwłoki komendanta na posterunek, a następnie do kostnicy knurowskiego szpitala.

Jak dotąd nie natrafiliśmy na żadną wzmiankę, czy Rosjan kiedykolwiek ujęto. W raportach śledczych używano sformułowania „osobnicy w rosyjskich mundurach”. Natomiast na gorąco świadkowie zdarzenia, czyli Soboń i Krawczyk zeznają, że to byli Rosjanie. Wydaje się, że byli pewni, że mają do czynienia z Rosjanami. Czy tylko przebranymi w mundury? Jakie to w sumie ma znaczenie? Zastanawiający jest też jeden szczegół z zeznań Sobonia. Podobno, gdy mijali krywałdzką Ligozę, jej straż przemysłowa proponowała pomoc w odstawieniu podejrzanych, na co komendant miał stanowczo odmówić, twierdząc, że wszystko jest pod kontrolą. Zdarzenie to jest dziwne z dzisiejszej perspektywy, jednak czas powojenny i faktyczna władza Moskwy w Polsce to zupełnie inny świat. Czasy Stalina, który był u szczytu swojej potęgi.

Antoni Jamrus spoczął na wilczańskim cmentarzu. Jak wspomniano na początku artykułu, pogrzeb zgromadził mnóstwo ludzi. Najstarsi wilczanie, którzy pamiętają tą chwilę, zapamiętali to jako bardzo emocjonalne wydarzenie, szczególnie z uwagi na zaledwie 14-letnią osieroconą Irenkę. Myślę, że warto odszukać grób komendanta przy okazji wizyty na cmentarzu w Wilczy, mamy też nadzieję, że nie pozostanie anonimowym na kolejne dekady.

Waldemar Pietrzak
Erwin Sapik

W artykule wykorzystano
informacje z materiałów
Archiwum IPN w Katowicach
IPN KA0146/114



Na cmentarzu



Pogrzeb



Rodzina Jamrus podczas okupacji

ŚLADAMI PRZESZŁOŚCI

CZYLI ZARYS DZIEJÓW NIEBOROWIC W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ HISTORYCZNYCH I WSPOMNIEŃ MIESZKAŃCÓW

Zamiast wstępu

Nieborowice, ta niewielka miejscowość w Gminie Pilchowice w powiecie gliwickim, leżąca mniej więcej w połowie odcinka drogi krajowej 78 między Gliwicami a Rybnikiem, nie miała szczęścia na odnotowania swej nazwy w dokumentach, które w sposób niepowtarzalny poświadczłyby rok jej historycznego zaistnienia. Dość żmudne poszukiwania potwierdzenia sformułowania – „wieś wzmiankowana w roku 1407”, zawartego m.in. w takich pracach jak „Kościoty Ziemi Gliwickiej” Jacka Schmidta, „Koleją wąskotorową do Rud” Edwarda Wieczorka i Krzysztofa Soidy, „Inwentaryzacja krajoznawcza województwa katowickiego, zeszyt 3, gmina Pilchowice” czy też „Gliwice i okolica” Piotra Rościszewskiego, nie przynosiły niestety, powodzenia.

A detailed historical map of the Gleywicz region. The title 'GLEWICZ' is prominently displayed across the top in large, bold, serif capital letters. Below the title, the map shows a network of rivers and roads. Key locations labeled include 'Gleywicz' (the title), 'Niebor', 'Knarow', 'Pilchowitz', 'Niederdorf', 'Mittel', 'Ob. Wilgich', 'Kemp', 'Stiglowitz', 'P. Sorylowice', 'Kriwald', 'Witron', 'Lieboschowitz', 'Melapole', and 'P. Melopole'. The map is densely populated with small black dots representing individual houses or buildings, and larger clusters of dots representing towns or villages. The rivers are depicted with wavy lines, and the roads are shown as straight lines. The overall style is that of an old, hand-drawn map.

nośląskiemu. W swej rozprawie Piotr Siemko wysuwa sugestię na pewno bardzo odważną, ale niepozbaną logiki i prawdopodobieństwa. Czytamy w niej: „Kolejną osadą wymagającą omówienia jest Żernica – Syrdnicza Semiani (Żernica Siemiana) i Syrdnicza villa monachorum de Ruda (Żernica mnichów z Rud). Żernica pojawia się po raz pierwszy w dokumencie z 1246 roku, na mocy, którego kasztelan opolski Zbrosław ze Śmicza wraz z bratem Maciejem otrzymali nadanie 2 żrębów w Żernicy należących niegdyś do „Sdani” i Bartumiła celem zasiedlenia na prawie niemieckim. Kolejna informacja na temat Żernicy pochodzi z 1283 roku, kiedy cystersi z Rud dokonali zamiany należącej do nich wsi Woszczycy na Żernicę. Żernica należąca do mnichów obejmowała 27 łanów, przy czym prepozyt opolski otrzymał dziesięćcinę z trzech łanów, natomiast Żernica Siemiana obejmowała 12 łanów, gdzie z dwóch łanów dziesięćciną należała się prepozytowi opolskiemu, z reszty należała do biskupa. Nadanie dziesięćcin prepozytowi opolskiemu nastąpiło niewątpliwie przed wejściem Żernicy w posiadanie cystersów z Rud. Uposażenie prepozyta należało do najstarszego uposażenia kolegiaty opolskiej i prawdopodobnie nadanie dziesięćciny nastąpiło z chwilą założenia kolegiaty. Stąd można wnioskować, że Żernica należy do grupy najstarszych osad na ziemi gliwickiej, istniejących jeszcze przed okresem kolonizacji na prawie niemieckim. Żernicę Siemiana należy identyfikować z graniczącą wsią Nieborowice. Wraz z kilkoma już wymienionymi osadami, Nieborowice zostały wymienione we wspomnianym już dokumencie z 10 listopada 1531 roku, dotyczącym kolegiaty opolskiej. Dziesięćcina wiadrunkowa z osady Nieborowitze należała się prepozytowi kolegiaty. Brak w tym dokumencie Żernicy. Ponadto należy zwrócić uwagę na protokół wizytacji kanonicznej z 1679 roku, według którego kościołowi parafialnemu w Żernicy dziesięćciną należała się w Żernicy od 31 siodłaków, a w Nieborowicach od 11 siodłaków. Zapis ten jest bardzo zbliżony z liczbą łanów zapisanych w „Liber fundationis...”. Przyjmując, że każde gospodarstwo miało jeden łan, to w Nieborowicach istniała jedna pustka, chyba, że (co jest mniej prawdopodobne) nastąpiło jakieś przesunięcie terytorialne do Żernicy. Niemniej liczba 27 łanów w „Liber fundationis...” do 31 siodłaków w powołanym protokole też nie jest wielkim odchyleniem. Określenie pierwotne Nieborowic, jako Żernicy Siemiana związane jest z prawem własności tej wsi. Siemian był Marszałkiem wojskim oraz kasztelanem Raciborskim. Występował on, jako świadek w dokumentach księżnej Opolskiej Violi w latach 1230 i 1238 oraz księcia raciborskiego Mieszka w 1239 roku. Jego braćmi byli Otton Lassota i Strzesz. Otton Lassota był zięciem kasztelana opolskiego Zbrosława ze Śmicza. Być może Siemian nabył tę wieś poprzez koligację rodzinne, a powstanie zawdzięczała samemu Zbrosławowi (nadanie wyżej wymienionych żrębów) lub jego następcy prawnemu. Informację o dziesięćcinie wiadrunkowej z osady Nieborowice, wymienionej w dokumencie z 10 listopada 1531 roku, w którym biskup wrocławski Jakub von Salza i książę opolski Jan potwierdzają kolegiacie opolskiej wszystkie posiadłości i dochody, odnaleźć również możemy w „Oberschlesische Heimat” („Górnośląska ojczyzna”) Band XI Oppeln 1915, gdzie na str. 63 Nieborowice wymienione są obok takich miejscowości jak Lubomia, Przyszowice, Pilchowice, Wielopole, Dębienieko, Ornontowice,

Bujaków, Chudów, Czerwionka, Sośnicowice, Szczegłowice czy Bełk. Można już spokojnie mówić w tym momencie o Nieborowicach nie, jako o wsi bez nazwy, lecz wyraźnie zaznaczającej swą odrębność na Śląsku, wsi zaznaczającej swoją odrębność terytorialną i ludnościową, odrębność istniejącą po dziś dzień.

Należy sobie zadać pytanie o pochodzenie nazwy wsi, wszak mamy do czynienia z trzema zupełnie odrębnymi hipotezami: czy tą od imienia Nebora (Niebora), czy tą od nieurodzajnej i piaszczystej gleby osady, co mogło spowodować, że mieszkańców nazywano nieborakami, czy też wreszcie tą, którą mówi o wsi, jako o „nie borowej”, czyli nienależącej do leśnych wiosek klasztoru cystersów w Rudach. Każda z tych wersji ma swoje logiczne uzasadnienie etymologiczne, a wszystkie świadczą o słowiańskich korzeniach nazwy wsi. Henryk Borek w pracy „Górny Śląsk w świetle nazw miejscowości” wywodzi nazwę od imienia Niebor z r.1238, zaznaczając, że w r. 1407 nazwa ta brzmiała Nieborowicz. Gdyby jeszcze Henryk Borek podał źródło, z którego zaczerpnął tę informację moglibyśmy z ulgą powiedzieć „nareszcie”, a tak wątpliwości wciąż nurtują tych, którzy chcą dociec prawdy.

Prawda czy legenda, rzeczywistość czy ...?

Gdy 23 maja 1618 r. po zgromadzeniu czeskiego parlamentu dwaj katolicycy namiestnicy cesarscy (W. Slavata i J. Martinica) oraz sekretarz (F. Fabrycius) zostali demonstracyjnie wyrzuceni przez okno praskiego zamku na Hradczanach, zaczęła się wojna trzydziestoletnia (1618-1648). Wydarzeniem w Czechach uważnie przyglądano się w Polsce, ale król Zygmunt III Waza popierał raczej katolickich Habsburgów. Kiedy cesarz Ferdynand II rozgromił powstanie czeskich stanów pod Białą Górą, koło Pragi wraz ze stanami czeskimi stanął przeciwko Ferdynandowi. Oddziały pokonanych wojsk czesko-niemiecko-duńskich rozproszyły się i część z nich wkroczyła na Śląsk znacząc swą drogę gwałtem, rabunkiem i pożogą. Tę wyniszczającą Śląsk wojenną tragedię na krótko zakończył naczelnny wódz wojsk cesarza Ferdynanda II, książę Albrecht von Vallenstein. W roku 1627 Vallenstein ostatecznie oczyścił Śląsk z wojsk protestanckich, ale zaczęły się represje z drugiej strony. Na pomoc protestantom na Śląsku przyszedł król szwedzki Gustaw Adolf i na przeciąg dwóch lat wznowiono działania wojenne, na domiar złego na Śląsku wybuchła zaraza pochłaniająca tysiące ofiar (nikt nie potrafił doliczyć się ich liczby). Skutki wojny na Śląsku były tragiczne: ludność zmniejszyła się o 1/3, zniszczono 36 miast, prawie 1 100 wsi i 118 zamków.

A co z małymi na ten czas Nieborowicami? Sięgnijmy do zapisów parafii św. Michała Archanioła w Żernicy.

„Gdyby w czasie trzydziestoletniej wojny Szwedzi oblegli miasto Gliwice, wtedy przechodząc przez Nieborowice, spłądrowali całą wieś, rozgromili ludność i domostwa ich spalili. W czasie pożaru Nieborowic, spłonął również tamtejszy kościółek. Z płonącej wieży oderwał się dzwon kościelny, a spadając na dół utknął głęboko w ziemi. Rumowiska pozostałe po pożarze pokryły miejsce, gdzie stał kościół, a co do dzwonu ludzie byli zdania, że się stopił w ogniu.

Po pewnym czasie zupełnie zapomniano o miejscu, gdzie stał nieborowicki kościół”, dowiadujemy się z kroniki ks. Ernesta Kieslinga. Legenda głosi, że po latach córka ubogiego chłopca pasąc świnię wpadła do dziury, którą wygrzebały zwierzęta. Kopiąc rękoma dalej natrafiła na spory kawałek metalu. Gdy wróciła do domu, opowiedziała wszystko rodzicom i wtedy chłop przypomniał sobie, jak dziadek wspominał, że w tamtym miejscu stał przed laty nieborowicki kościół. Nazajutrz z dziury wydobyto dzwon, a ponieważ mieszkańcy Nieborowic byli ubodzy, nie myśleli o budowie własnego kościoła, więc dzwon postanowili wywieźć do Gliwic. Zaprzęgli 6 koni, załadowali dzwon, ale konie nie chciały ruszyć z miejsca. Dopatrując się w tym widocznie jakiegoś znaku zmienili plan i chcieli przekazać dzwon wiosce Schonwald (dzisiejszy Bojków). Sytuacja się jednak powtórzyła. Konie, co prawda ruszyły, ale utknęły w mokradłach. Za radą pewnej ubogiej kobiety dzwon miano w końcu przekazać oddalonej o 2 km Żernicy, gdzie akurat wybudowano owy kościół. Podobno wówczas wóz bez problemu uciągnęły dwa osły.

Tyle legenda; czy tak było naprawdę, czy istotnie nieborowiczanie modlili się wtedy w swoim kościółku?, kto był jego patronem? Trudno na te i wiele innych pytań odpowiedzieć w sposób jednoznaczny, tym bardziej, że nie znajdziemy odpowiedzi również w takich pracach jak „Kościół katolicki na Ziemi Gliwickiej w okresie od reformacji do sekularyzacji” Henryka Gerlica, czy „Sieć parafialna archidiecezji gliwickiej w średniowieczu” Bogdana Klocha, traktujących o kształtowaniu się parafii katolickich na Śląsku. Siła tej legendy jest jednak tak wielka, że nie ośmielę się twierdzić, iż mijają się zupełnie z prawdą. Może istotnie mają rację ci mieszkańcy Nieborowic, którzy przez pokolenia pielęgnując ten piękny rys przeszłości są przekonani o prawdziwości legendy, przekonani o tym, że protestanckie wojska zniszczyły katolicki kościółek. Warto dodać, że Henryk Gerlic w swej pracy „Kościół katolicki na Ziemi Gliwickiej...” na str. 132 podaje, iż w omawianym przez niego okresie z Nieborowic pochodził ksiądz Jan Hoschek.

W tej wierze, w tym przeświadczeniu utwierdzono i nadal utwierdza mieszkańców wsi wydarzenie z r. 1929. Dość szeroko, za artykułem „Die verschwundene Kirche auf dem Schulacker von Nieborowitz” (Zaginiony kościół na szkolnym polu w Nieborowicach), opublikowanym w „Der Oberschlesische Wanderer” („Górnośląski Wędrowiec”) z 20-04-1931 r. pisze o tym Jacek Schmidt w książce „Kościół Ziemi Gliwickiej”: „Pewien spory nawet rozgłos, wieś zawdzięcza jednak zupełnie innym sprawom. Otóż już w 1929 roku podczas wstępnych badań archeologicznych, znaleziono tu szereg narzędzi kamiennych. Następnie kontynuowano owe badania w latach 30-tych pod fachowym kierunkiem prof. Pfutzenreitera. Ekipa pracująca pod jego kierunkiem oraz z pomocą miejscowej ludności, dokonała w 1931 roku interesujących odkryć w okolicy tzw. „wzgórza nieborowickiego”, zwanym także „wzgórzem szkolnym”. Znaleziono m.in. dwa szkielety z resztami odzieży. Nauczyciel Cyganek natychmiast zawiadomił dyrektora bytomskiego muzeum dr Matthesa, który przybył tu z preparatorem Kubitzem. Po dalszych poszukiwaniach znaleziono jeszcze 30 szkieletów. Prace ziemne prowadzone były tu w związku z budową nowej drogi. Poza szkieleta-

mi znaleziono m.in. klucz i obręcz naręczną. Przyjęto, że w tym miejscu był cmentarz, kościół, osiedle chłopskie oraz jakieś pewne skromne zamczysko". Najmniejszych wątpliwości nie budzi natomiast fakt, że po dramatycznych wydarzeniach wojny trzydziestoletniej, z chwilą rozpoczęcia budowy nowego kościoła w Żernicy, Nieborowice stały się częścią parafii św. Michała Archanioła, a mieszkańcy współuczestniczyli w budowie nowej świątyni iłożyli na utrzymanie parafii. W protokole powizytacyjnym z r. 1679, zamieszczonym w „Visitationsberichte der Diözese Breslau, Archidiakonats Oppeln” J. Jungitza, na str. 105 odnajdujemy informację o zobowiązaniach Nieborowic wobec parafii św. Michała Archanioła w Żernicy. „Ex villa Zernice a 31 colonis per 2 modios siliginis totidemque avenae percipit, ex pago Nieborowic ab 11 colonis solum per 2 argenteos. Proventus ecclesiae nulli, nisi elemosyna ex sacculo collecta et colligenda. Vitrici ecclesiae: Melchior Kalusz, Melchior Twardawa et Petrus Zmuda catholici et iurati. Scholasticus Ioannes Felix pro solaro a singulis colonis habet grossum argentum et duos libones panis, conseminat quoque agellum duobus modis mensurae Gliwicensis.”

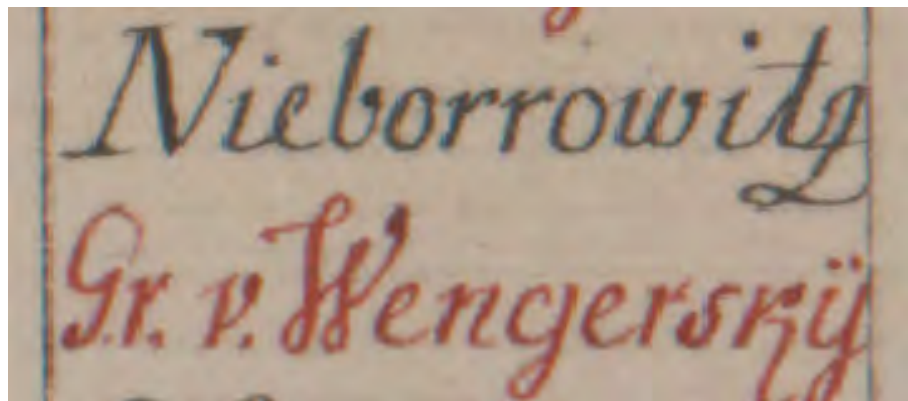
/ze wsi Żernica każdy z 31 osadników po 2 miary pszenicy i owsa płaci, w Nieborowic każdy z 11 osadników po dwa srebrne grosze. Kościół nie posiada żadnego dochodu z wyjątkiem jałmużny zbieranej do woreczka. Witrykami (dzisiejszymi członkami rady parafialnej) są Melchior Kalusz, Melchior Twardawa i Piotr Zmuda katolicy i zaprzysiężeni. Nauczyciel Jan Feliks, jako wynagrodzenie otrzymuje od każdego osadnika jeden srebrny grosz i dwa bochenki chleba oraz obsiewa poletko dwoma miarami (zboża) miary gliwickiej/.

Zapewne niejednemu nasuwa się w tym miejscu pytanie: dlaczego żerniczanie swoje powinności świadczyli w naturze, zaś nieborowiczanie w formie pieniężnej? Być może taką formę zasugerowała Pani von Reisevitz – ówczesna właścicielka m.in. Nieborowic i Wilczy („Dzieje miasta Rybnika i dawniejszego Państwa Rybnickiego na Górnym Śląsku”), być może były jakieś inne powody. Sądzę, że ten dylemat może stać się inspiracją do poszukiwań materiałów nt. uwarunkowań społecznych i gospodarczych ludzi zamieszkujących te tereny w II poł. XVII wieku.

Historię tworzą wydarzenia i ludzie

Ludność wsi niewielkich obszarowo, a taką z pewnością były Nieborowice, nie interesowała się wielką polityką i zmianami zachodzącymi na mapie Europy, pewne ożywienie następowało niewątpliwie tylko wtedy, gdy pojawiały się przywileje bądź represje. Warto pamiętać, iż ziemia śląska, jak rzadko, która przechodziła wyjątkową zmienność swej historii, uzależnionej od tych, którzy nią władali. W popularnym zarysie dziejów „Historia Śląska”, Stefan Mizia, dając zwięzły zarys zmiennych i jakże burzliwych dziejów Śląska wyodrębnia siedem zasadniczych okresów w jego historii:

- Śląsk w państwie pierwszych Piastów (ok. 990-1138)
- Utrata suwerenności na rzecz Czech (1138-1348)
- Śląsk wśród dziedzin korony św. Wacława (1348-1526)
- Śląsk pod panowaniem Habsburgów (1526-1740)



- W państwie pruskim (od 1871 niemieckim)
- Czasy państw śląskich (1919-1921)
- Śląsk po II wojnie światowej

Nieborowice, tak jak cały Śląsk, przechodziły swoją ową zmienność losu i nie miały najmniejszych możliwości przeciwstawienia się woli władców Śląska. Z lekcji historii wszyscy wiemy o wielkiej wiktorii wiedeńskiej, jaka stała się udziałem wojsk polskich pod wodzą Jana III Sobieskiego. Nie można wykluczyć, że mieszkańcy naszej wsi stali się świadkami przemarszu jego wojsk. Wszak i Piekary, gdzie król wysłuchał mszy, i Tarnowskie Góry, gdzie dokonał przeglądu wojsk, i Gliwice, gdzie zatrzymał się na krótko, i Racibórz, gdzie był goszczony przez Oppersdorfów, leżą niezbyt daleko. Nie było wtedy, co prawda, dzisiejszych ułatwień komunikacyjnych, jednak sława króla, waga i wielkość wyprawy mogły wyzwolić w ludności chęć zobaczenia tego wydarzenia za wszelką cenę. Wiek XVIII przyniósł dość istotne wydarzenia nie tylko dla Pilchowic, (w r. 1727 majątek w Pilchowicach zakupił hrabia Wengersky, który już był właścicielem Rybnika z 26 wsiami), ale i dla Nieborowic. Na mapie księstwa opolskiego Johanna Wolfganga Wielanda wykonanej w r. 1736 obok nazw miejscowości zamieszczonych na mapach już w XVI i XVII wieku (m.in. Sośnicowice, Rachowice, Gierałtowice, Smolnica, Żernica, Wilcza, Rudy, Wielopole, i wiele innych) pojawia się nazwa naszej wsi, co oznaczać może tylko jedno, Nieborowice zaczynają być widoczne w sąsiedztwie większych miejscowości.

Kiedy w roku 1785 hrabia Wengersky utworzył w Pilchowickiej majątności majorat – ordynację, z całą pewnością obok Pilchowic, Dolnej Wsi, Wilczy Górnej i Dolnej, Szczygłowic, Knurowa, Krywałdu, Kuźni Nieborowskiej i Wielopola, weszły doń i Nieborowice. W pracy J.G. Knie – „Uebersicht aller Dorfer...” („Przegląd wiosek, przysiółków, miast i innych miejscowości Królestwa Pruskiego Prowincji Śląskiej” wydanej we Wrocławiu w 1830 r.) czytamy na str. 516, że Nieborowice należą do majoratu hrabiego von Wengersky, zaś do Nieborowic: Kuźnia Nieborowska, Mysia Góra, Zalesie i Wydzirów.

Nieborowice, wg J.G. Knie, liczyły wówczas 306 mieszkańców, Kuźnia Nieborowska 112, Zalesie 48, brak informacji o liczbie mieszkańców Mysiej Góry i Wydzirów. Sam Wydzirów to w pewnym sensie „biała plama”, nikt z mieszkańców Nieborowic na ten temat niczego powiedzieć nie potrafi.

Fakt swoistego podporządkowania Nieborowicom Kuźni Nieborowskiej nabiera szczególnego znaczenia w sytuacji, gdy w roku 1740 hrabiowie

Wengerscy uruchomili na krótko dymarkę. To wokół dymarki, a od roku 1800 huty żelaza rozwinęła się osada, której nazwę wywiedziono od Nieborowic.

W r. 1819 Fryderyk Wengersky podpisał dokument o zniesieniu pańszczyzny w Knurowie, zgromadzone w Archiwum Państwowym w Gliwicach dokumenty wskazują jednoznacznie, że podobnie potraktowani zostali mieszkańcy Nieborowic i Zalesia.

W roku 1830 ukazuje się sporządzona w skali 1:165000 mapa położonego na Górnym Śląsku półzawistego pośrednio zależnego księstwa Racibórz. Na tej mapie, bardziej szczegółowej, niż pana Wielanda z r. 1736, co zrozumiałe z uwagi na czas powstania, obok Nieborowic odnajdujemy Mysię Górę, nie występuje natomiast jeszcze Kuźnia Nieborowska, co może sugerować, iż osada była dopiero w trakcie organizowania się i zasiedlenia.

Pod koniec wieku XIX, prawdopodobnie na przełomie lat 80 i 90 w Nieborowicach wybudowano kapliczkę św. Jadwigi. Nie odnalazłem żadnej wzmianki w tej kwestii w dokumentach, w tym m.in. w kronice parafialnej ks. E.Kieslinga, nie umieli podać tej daty również najstarsi mieszkańcy wsi – Elżbieta Kotzur, Agnieszka Wieczorek, Karol Górecki, Eryk Winkler, Wiktor Labus, Jadwiga Barteczko czy Teodor Labus. Natomiast jednym głosem mówią oni, iż jest bardzo stara, że była dwa lub trzy razy odnawiana, że zawsze mieszkańcy wsi, dopóki nie wzniesiono Kościoła filialnego pw. Św. Jadwigi Śląskiej, konsekrowanego 18 października 1997r. chodzili „śpiewać i rzykać (modlić się) do Jadwiżki”, jak pieszczotliwie nazywano miejsce, które nieborowiczanie zastępowało kościołem, wszakże marzyć o nim nie zapomniano. Ktoś powie, że to tylko kapliczka, ale dla mieszkańców wsi miał ten fakt znaczenie wyjątkowe, gdyż można było modlić się – w – lub – obok – swojej świątyni, w piękne dni maja czy października, a w dniu św. Jadwigi uczestniczyć we mszy św., koncelebrowanej dla wszystkich zgromadzonych wokół kapliczki. O tych pięknych spotkaniach pod swoją kapliczką mówią również młodsze mieszkanki Nieborowic, m.in. Anna Gillner, Jadwiga Kłyk, Brygida Władarz, Irena Foit i Regina Garcorz.

Winfryd Ficoń
Nieborowice 2007

PRZEMYT NA ŚLĄSKU I W WILCZY TEŻ

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości na wniosek Ministerstwa Skarbu uchwałą z 10 marca 1920 roku powołano do życia Straż Celną. Proces tworzenia Straży Celnej trwał do końca 1922 roku. Zorganizowano w II Rzeczypospolitej dwadzieścia cztery Inspektoraty Straży Celnej, w tym jednym z nich był „Rybnik”, któremu podlegało siedem komisariatów. Jednym z owych siedmiu komisariatów był „Knurów”. W skład komisariatu „Knurów” wchodziła placówka Straży Celnej „Wilcza Dolna”. Polscy strażnicy celni otrzymali zielone mundury, stąd u nas nazywano ich wówczas „zielonkami”. W 1926 r. komendantem placówki „Wilcza Dolna” był starszy strażnik Wojciech Bauza, któremu podlegali – starszy strażnik Paweł Wiaterek, starszy strażnik Józef Zacher, strażnik Wincenty Lewandowski, strażnik Franciszek Ręka, strażnik Władysław Prusinowski, strażnik Wincenty Flaczek, strażnik Czesław Doliński, strażnik Stefan Kłys. W 1928 roku Straż Celna została przekształcona w Straż Graniczną. W latach 30. na placówce „Wilcza Dolna” pełnili jeszcze służbę inni strażnicy – Antoni Jamrus, Jan Kolasa, Wincenty Stopa, Jan Dajerling. Z inicjatywy strażników granicznych Ignacego Łagody i Wincentego Lewandowskiego założono Towarzystwo Śpiewu

„Harmonia”. Współpracę z placówką Straży Granicznej podjęła nowo utworzona w marcu 1930 r. placówka Strzelca w Wilczy Dolnej. Ówczesna prasa donosiła – „Z Rybnickiego – Dnia 7 marca rb. powstała w Wilczy Dolnej nowa placówka Związku Strzeleckiego, której obsadę stanowi 65 członków. Placówka posiada własną orkiestrę i obecnie – przy pomocy uczynniejszych obywateli – przystępuje do umundurowania się. Zarząd placówki stanowią pp. Wiosna Ignacy (prezes), Adam Moskał, Kałuża, Piotr Noskiewicz, Bałuch, Draga, Tadeusz Mazurek i Hamerski Stanisław. Ref. ośw. jest p. Fr. Migala”.

W naszej strefie granicznej istniał drobny przemysł towarów („szmugiel”). Żywność u nas była stosunkowo tania, a towary przemysłowe drogie i trudno było je kupić. Następowła więc wymiana towarowa przez „zieloną granicę”. Po drugiej wojnie światowej często nasi dziadkowie wspominali, jak to było „piyrwyj” na granicy z Pilchowicami. Znany był proceder przerzutu koni nabywanych przez pewną grupę mieszkańców Wilczy na targu w Rybniku (wówczas targi końskie odbywały się tam, gdzie stał oddany do użytkowania w latach 80. dom handlowy „Hermes”).

W okresie wielkiego kryzysu gospodarczego

przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XX wieku jednym ze sposobów na przeżycie przez bezrobotnych Ślązaków stał się przemysł. Ten niebezpieczny proceder pochłaniał mnóstwo ofiar, co było konsekwencją okrutnego prawa zezwalającego funkcjonariuszom granicznym strzelać do każdego przemytnika niczym do dzikiego zwierza. Nie mniej represyjne były przepisy (dochodzenia, procesy, surowe wyroki za usiłowanie przemytu na lokalnych przejściach granicznych). Dziś przerażają nas doniesienia ówczesnych gazet opisujące z krwistymi szczegółami śmierć młodych bezrobotnych szmuglerów, którzy łamali prawo.

W rybnickim „Tygodniku Powiatowym” z 20 kwietnia 1929 roku ukazała się informacja o tym, że mieszkaniec Lubomi za uprawianie przemytu na rok wydalony został ze strefy pasa granicznego, czyli ze swojego domu. Trudno dziś określić liczbę podobnych wysiedleń, ale niespełna 10 lat później na łamach dziennika „Polska Zachodnia” nr 194 z 17 lipca 1938 roku ukazało się ogłoszenie, że na wniosek Straży Granicznej władze bezpieczeństwa wysiedliły z terenu powiatu rybnickiego kilkadziesiąt osób właśnie za kontrabandę. Jak precyzowała prasa, tych ludzi uznano za szkodników w strefie przy-



Robotnicy podczas kontroli przez polską straż graniczną, przed przekroczeniem granicy niemieckiej
Narodowe Archiwum Cyfrowe

granicznej i dlatego zaistniała konieczność przesiedlenia ich w głąb kraju.

Różne były metody przechytrzenia służb, aby przerzucić trefny towar przez silnie strzeżoną granicę. W sierpniu 1929 roku funkcjonariusze Służby Granicznej Inspektoratu Rybnik wpadli na trop szajki, która przemyciała do Polski broń krótką w wydrążonych książkach. W połowie lat trzydziestych w Niemczech istniał wielki popyt na polski drób. Na punktach granicznych cło od kaczki wynosiło 20 fenigów od kilograma, zaś od gęsi 1 markę 20 fenigów, dlatego też zaradni eksporterzy przerabiali ubite gęsi na kaczki, przyszywając kaczę łby do gęsich torsów. Inny spryciarz późną już porą wkraczał na punkt kontrolny i domagał się szybkiego zrewidowania argumentując, że za chwilę odjedzie ostatni tramwaj (dotyczyło to aglomeracji miejskich). Podczas jednej takiej rewizji celnik przypadkowo dotknął jego laski, z którą zawsze chodził i ze zdumieniem stwierdził, że była to sucha kiełbasa symulująca ten przedmiot. Inny celnik przypadkowo odkrył, że urodziwa dziewczyna przemyciała banknoty wplecione w grube warokcze. Zdarzało się też, że celnicy kilkakrotnie przetrząsali podejrzanego toboły przewożone rowerem i nic podejrzanego nie stwierdzali, gdy tymczasem szmuglowanym towarem był rower na fałszywych papierach (tak na pewno zdarzało się na przejściu granicznym między Wilczą Dolną a Dolną Wsią). W powiecie rybnickim szczególną plagą był przemyt eteru. Ta bezbarwna i łatwopalna ciecz o specyficznym zapachu należała do najgroźniejszych substancji odurzających. W owych czasach pito ją i wachano w całej Polsce, jednak najbardziej rozpowszechniona była na Górnym Śląsku, gdyż była tańsza od gorzałki. Dystrybucją zajmowali się wędrowni handlarze,



Patrol Straży Granicznej na granicy polsko-niemieckiej. Narodowe Archiwum Cyfrowe

żebracy, kataryniarze, szmaciorze i skupywacze skór (skórkorze), którzy z racji swego zajęcia odwiedzali wioski, osady i miasteczka. Nałogowcy pili tańszy od wódki eter, górnicy dolewali do kawy eter dla lepszego samopoczucia, a matki kilkoma kroplami nasączały eterem cukier owinięty w szmatkę i podawały niemowlętom do ssania, aby te szybciej zasypiały. Funkcjonowały też oberże zwane „kapliczkami”, które skrycie zajmowały się wyszynkiem eteru „uszlachetnionego” wodą okraszoną różnymi dodatkami smakowymi. Każda miała ściśle strzeżoną recepturę na przyrządzanie mikstury, choć najbardziej skuteczny był eter bez żadnych dodatków. Szkołę w tym, że ma on bardzo niską temperaturę wrzenia (zaledwie 35 stopni Celsjusza), więc natychmiast po wypiciu zamienia się w gaz, powodując groźną czkawkę niszczącą organy wewnętrzne, co niejednokrotnie doprowadzało do śmierci lub ciężkich chorób. Mimo to spożycie eteru rosło. Eter szmuglowano z Niemiec i Czech. W powiecie rybnickim najczęściej po-

chodził z centrali w Ostrawie, dokąd udawały się zazwyczaj kilkusobowe grupy specjalizujące się w przemyśle i dystrybucji. Ich członkowie po przekroczeniu zielonej granicy w dalszą drogę ruszali już pod opieką kurierów przysyłanych z centrali. W Ostrawie napełniali blaszane pojemniki, płacili gotówką i pod nadzorem tych samych opiekunów doprowadzani byli do granicy, gdzie niektórzy wtajemniczeni funkcjonariusze czechskiej straży granicznej informowali ich o ruchach polskich służb i aktualnych możliwościach przekroczenia zielonej granicy. W podobny sposób eter szmuglowano z Niemiec, a najczęściej z centrali w Tworowie na Śląsku Opolskim. W dzienniku „Polska Zachodnia” nr 293 z 25 października 1929 roku informowano – „Onegdaj na odcinku granicznym Dolna Wilcza, w pobliżu Knurowa, patrol straży granicznej natknął się na bandę przemytników w liczbie 8 osób objuczonych wielkimi tobołami. Na wezwanie straży, by się zatrzymali, przemytnicy porzucili swe pakunki i poczęli uciekać. Oddano w ich kierun-



Straż Graniczna na łęczach i złapani przemytnicy - pierwszy z lewej Antoni Jamrus

ku 13 strażów, które żadnego z nich nie trafiły i wszyscy przemytnicy zdołali zbiec pod osłoną nocy zostawiając na miejscu 100 kilo tytoniu, który usiłowali przemyścić z Niemiec do Polski. Tytoni skonfiskowano". W listopadzie 1929 roku na odcinku granicznym Szczygłowice – Nieborowice strażnik Paweł P. zastrzelił przemytnika Wincentego P. z Leszczyn, powiat Rybnik, przy którym znaleziono rodzinę. Innymi przemytanymi specyfikami przynoszącymi duże zyski i rozprowadzanymi na pograniczu polsko-czesko-niemieckim były kokaina i sacharyna. Tutaj jednak procederem zajmowali się nie biedni bezrobotni, ale grupy zorganizowanych profesjonalistów. „Śląska Gazeta Ludowa” nr 8 z 7 lutego 1934 roku informowała, że przemyt na granicy polsko-niemieckiej urosł do niespotykanych dotąd rozmiarów. Tylko w ciągu 1933 roku straż graniczna zatrzymała 13 tysięcy osób z przemytem wartości 1 200 000 złotych. Za odebranie przemytnikowi jednego kilograma sacharyny o wartości rynkowej 29 złotych strażnik graniczny otrzymywał nagrodę w wysokości 50 złotych. Możliwość zdobycia tak wysokich premii skłaniała wielu strażników do licznych przekrętów i oszustw. W listopadzie 1932 roku głośna była sprawa nadużyć w walce z przemytnictwem, których się dopuszczali funkcjonariusze straży granicznej. Dlatego funkcjonariuszy bardzo czę-



Straż Graniczna podczas zatrzymania. Narodowe Archiwum Cyfrowe

za rzekomo bezpodstawne, niezwykle brutalne zachowanie przy dokonywaniu rewizji. Chwilowo wstrzymujemy się z opublikowania faktów ilustrujących przejścia obywatela Rybnika, zawartym w piśmie do naszej redakcji – w nadziei, że sprawę wyjaśni władza przełożona kierownika Urzędu Celnego i w razie stwierdzenia istotnego przekroczenia służbowego wyciągnie z faktu tego odpowiednie konsekwencje".

Straż graniczna tępiła również kłusownic-

Krótko przed wybuchem II wojny światowej w nocy 27 sierpnia dywersanci niemieccy ostrzelali i obrzucili granatami budynek celny w Wilczy Dolnej na Łużach. Następnego dnia wojewoda śląski Michał Grażyński w towarzystwie głównego komendanta policji i starosty rybnickiego dokonał wizytacji przygranicznych miejscowości w naszym rejonie – Przyszowic, Gierałtowic, Knurowa, Szczygłowic i Wilczy Dolnej. Będąc w Wilczy Dolnej obejrzał zniszczony budynek celny.

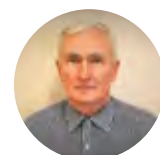
Zapraszam do obejrzenia na You Tube filmu „Operacja Himmler 1979”, w którym pokazano sceny nakręcone w rejonie naszego dawnego budynku celnego na Łużach. Zainteresowanych odsyłam do książki Heleny Nikiel urodzonej 17 października 1931 roku w Wilczy Dolnej – córki strażnika celnego Wincentego Stopy, który poślubił mieszkankę naszej miejscowości. Wincenty Stopa wiosną 1939 roku został przeniesiony na granicę polsko-łotewską. Tereny te z chwilą wybuchu wojny zostały zajęte przez wojska sowieckie i Jego rodzina została wywieziona na Sybir, później do Kazachstanu, by ostatecznie wrócić do Wilczy w lipcu 1947 roku.

Bibliografia:

- Śląski Kalejdoskop Historyczny Józefa Kolarczyka
- Wikipedia
- Śląska Biblioteka Cyfrowa

Art. zbiorowy

Józef Kolarczyk, Ryszard Pławewski



Straż Graniczna i łapani przemytnicy. Narodowe Archiwum Cyfrowe

sto przenoszono z jednej placówki do drugiej, żeby zapobiec korupcji.

Były też składane skargi na strażników „Wilczy Dolnej”. W dzienniku „Polska Zachodnia” nr 356 z 20 grudnia 1936 roku napisano – „Jak się dowiadujemy, jeden z obywateli Rybnika wniósł do Dyrekcji Ceł w Mysłowicach zażalenie na kierownika Urzędu Celnego w Wilczy Dolnej

two. Pismo codzienne „Siedem groszy” z 10 października 1934 roku donosiło – „GAJOWY KŁUSOWNIKIEM. W tych dniach zgłosił przod. Straży Granicznej Antoni Smoliński Wilczy Dolnej, że na terenie lasów domeny państwowej w Wilczy przytrzymał gajowego A. D. z Czuchowa w chwili, gdy ustrzelił 2 zające. Ubite zające oddano właścicielowi polowania, p. Grzonce.”

CZAS...

...Było już około godziny szóstej i mrok ogarnął całą ziemię aż do godziny dziewiątej. Słońce się zaćmiło i zasłona przybytku rozdarła się przez środek. Wtedy Jezus zawołał donośnym głosem: Ojcie, w Twoje ręce powierzam ducha mego. Po tych słowach wyzionął ducha...

(Fragment Męki Pańskiej wg św. Łukasza)

Któż z nas nie zna tego fragmentu Pisma Świętego? Co rok słyszymy te słowa przed Wielkanocą i przeżywamy je w pełnym skupieniu. Kiedy jednak przeżyjemy już to ewangeliczne przesłanie, czyż nie zastanawiają nas szczegóły tekstu? Ewangelista podaje nam chronologię wydarzeń. Godzina szósta, dziewiąta, słońce się zaćmiło... Cóż w tym dziwnego, że między szóstą a dziewiątą było już ciemno? Był już wieczór – myślimy – początek wiosny, ciemność wcześniej zapada niż latem, nic w tym niezwykłego.

A jednak... Ewangelista nie popełnił błędu. Tak jesteśmy ograniczeni współczesnym pojęciem czasu i jego miarą, że nie mieści nam się w głowie, że kiedyś mogło być inaczej. Podział doby na godziny wyglądał w starożytności zupełnie inaczej. To pojęcie czasu przejęło później chrześcijaństwo i przetrwało w Europie do późnego średniowiecza.

Rytm życia od najdawniejszych czasów wyznaczała przyroda. Proszę zwrócić uwagę na to, że dzisiaj wschód i zachód słońca wypada codziennie o innej godzinie. Inaczej było w starożytnym Rzymie i w obrębie całego Morza Śródziemnego. Otóż wschód i zachód słońca był początkiem i końcem dnia i wypadał zawsze o tej samej godzinie... Dzień, czyli czas kiedy słońce jest na niebie, dzielono na 12 godzin i tak samo dzielono noc na dwanaście godzin. Czyli doba liczyła tak jak dzisiaj 24 godziny. Godzinę więc pierwszą wyznaczał wschód słońca. Południe czyli moment, kiedy słońce jest w zenicie określała godzina szósta. Zachód słońca oznaczał godzinę dwunastą. Identyczny podział miały godziny nocne. Szósta nocna godzina była równoznaczna z północą, którą wyznaczano z położenia gwiazd na niebie.

W zasadzie w takim podziale godzin dla nas współczesnych nie byłoby nic specjalnie szczególnego, bo doba dzisiaj też ma 24 godziny, gdyby nie jeden szczegół – pory roku. Proszę zwrócić uwagę na to, że okres kiedy słońce jest na niebie zimą, jest niemal dwukrotnie krótszy niż latem, a noc zimą jest niemal dwukrotnie dłuższa niż latem. Ponieważ jednak godzin

dziennych i nocnych jest zawsze 12, to pojęcie godziny nie oznaczało jednakowej miary czasu. Długość godziny była ściśle zależna od pory roku i zmieniała się! Dla nas współczesnych, zagonionych, ciągle z zegarkiem w ręce jest to trudne do zrozumienia. By to zrozumieć trzeba postawić się na miejscu ludzi starożytnych aż po średniowiecze, które żyło tym samym rytmem. Precyzyjne pomiary czasu nie były wtedy nikomu potrzebne. Dzień dzielił się w zasadzie na dwie połowy – przed południem i po południu. W starożytnym Rzymie południe ogłaszał herold na Forum Romanum, w średniowiecznej chrześcijańskiej Europie ogłaszały to dzwony na „Anioł Pański” z wież kościołów i klasztorów. Kto miał sprawę załatwić przed południem, to nie czekał na bicie dzwonów, tylko załatwiał. A kto umówił się na popołudnie cierpliwie czekał aż zadzwonią... Tryb życia włączał się w naturalny cykl przyrody; latem dłużej pracowano, zimą więcej było czasu na odpoczynek i sen, chociaż liczba godzin pracy i snu przez cały rok była ta sama. Trudno sobie wyobrazić inny tryb życia w świecie, gdzie wykonywanie masowej pracy przy sztucznym świetle było niemożliwe...

Chrześcijaństwo w zasadzie nie zmieniło tego podejścia do miary czasu. Dopiero rozwój miast w średniowieczu, a co za tym idzie dynamiczny rozwój różnych rzemiosł i przedsiębiorczości wymusił inne spojrzenie na czas i precyzyjne jego wyznaczanie. Chociaż też nie do końca. Pierwsze mechaniczne zegary miały tylko jedną wskazówkę (tak jak zegary słoneczne) – godzinową. Minutowa nie była jeszcze potrzebna...



Zegar słoneczny Bazyliki Mariackiej w Krakowie
https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/a/aa/Cadran_solaire_St_Marys_Basilica_01_AB.jpg



Zegar jednowskazówkowy na katedrze na Wawelu
<http://katalogzegary.pl/zegar-kościoła-katedralnego-na-wawelu.html>

Jednak zanim wymyślono precyzyjne zegary czas odmierzali w średniowieczu dzwony kościelne. Ogłaszały wschód słońca i czas na modlitwę brewiarzową – jutrznię. W południe ogłaszały czas na modlitwę „Anioł Pański”. Zachód słońca był porą na nieszpory. Czasem dzwony wyznaczały również czas na modlitwę przed snem – kompletę. W niedzielę i święta dodatkowo wzywały parafian na mszę świętą. Dla ludzi średniowiecza to wystarczało, żeby orientować się w czasie.

Dzisiaj tęsknimy czasem do takiego życia bez zegarka na rękę i do świata, w którym wszystko reguluje rytm przyrody, gdzie obowiązują ściśle określone reguły...

Wracając do fragmentu Męki Pańskiej wg św. Łukasza, musimy stwierdzić, że ewangelista jak na tamte czasy był niezwykle precyzyjny.



Zdjęcie K-H Zegar z 1935 roku

Śmierć Jezusa nastąpiła około południa (godzina szósta – dzisiejsza dwunasta). Ciemność trwała do godziny dziewiątej. Biorąc pod uwagę to, że działo się to tuż przed Świętami Paschy, czyli tuż przed pierwszą wiosenną pełnią księżyca, dzień i noc miały mniej więcej tę samą długość, więc czas trwania godziny był zbliżony do współczesnego. Z tego wniosek, że ciemność trwała do naszej współczesnej godziny 15.

A jak było u nas w Pilchowicach? Pierwszy kościół wzmiankowany był już w 1355 roku. Czy miał już wtedy wieżę i dzwony (dzwon)? W zasadzie można złożyć, że tak. Był z pewnością potrzebny, żeby zwoływać wiernych na msze święte i nabożeństwa. Wieże z dzwonami w tym czasie były sprawą normalną. Dzwony wyznaczały też południe. To było ważne, żeby orientować się w czasie. Średniowiecze nie było okresem prymitywnym, jak czasem się propaguje. To okres dynamicznego rozwoju. Trudno dzisiaj powiedzieć, czy dzwony u nas rozbrzmiewały na jutrznię (o świcie), czy w czas zachodu słońca na nieszpory, choć w niedzielę na nieszpory z pewnością dzwoniły. Tak do końca nie wiemy, co stało się z tym pierwszym naszym kościołem. Historycy czasem piszą, że może został już zniszczony w czasie wojen husyckich, a niektórzy, że w czasie wojny trzydziestoletniej. Faktem jest jednak, że najstarsze znane nam pilchowickie dzwony zostały odlane w 1658 roku. Jeden (większy) był poświęcony św. Janowi Chrzcicielowi, drugi (mniejszy) Najświętszej Marii Pannie. To te dzwony wyznaczały rytm dnia od 1658 roku do czasu, kiedy zostały zarekwirowane w czasie II wojny światowej. Ciekawe jest tutaj to, że dzwony te zostały odlane dziesięć lat wcześniej niż powstał nowy drewniany kościół ufundowany przez ród Holly w 1668 roku. Oznaczałoby to, że dzwony te dzwoniły w jeszcze starszym kościele, którego opisu już nie znamy.

Nadszedł w końcu czas, kiedy Pilchowicami zarządzał ród von Wengersky. Był to ród na wskroś katolicki. W czasie kilkudziesięciu lat rządów rodu nasza stara drewniana świątynia była początkowo wystarczająca dla naszej miejscowości, jednak dynamiczny rozwój Pilchowic wymusił budowę nowego murowanego, jak na tamte czasy nowoczesnego kościoła. Prawdopodobnie więc od 1780 lub 1781 roku rytm czasu zaczęły odmierzać nie tylko dzwony, ale też zegar na wieży. Zegar ten z całą pewnością był już na wieży w 1837 roku. Zachował się na plebanii obraz naszego proboszcza Josepha Kawurka na tle naszego kościoła. Wyraźnie widoczna jest wieża z zegarem. Cyferblat jest czarny (może brązowy), nie tak jak dzisiaj - biały. Jest to pierwszy widok naszego kościoła przed erą fotografii. Obraz powstał w 1837 roku tuż po śmierci księ-

dza proboszcza Siegmunda. Jak widać wąż już był na krzyżu na wieży (co oznacza?).



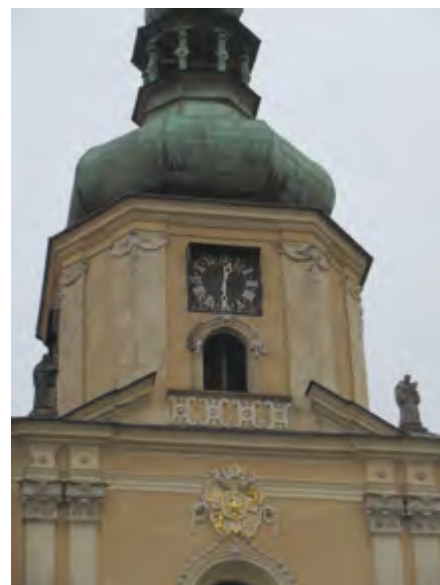
Zdjęcie Agnieszka Robok

Pilchowice więc dostały dokładny pomiar czasu. Zegar ten w czasie, kiedy powstał obraz, miał już ponad pięćdziesiąt lat. Zabudowa Pilchowic wtedy nie była wysoka, więc pewnie zegar widoczny był niemal z każdego miejsca (od strony „Bagna” z pewnością nie był widoczny). Wilcza, Wielopole, Smolnica, Kuźnica Nieborowska musiały zadowolić się dźwiękiem dzwonów. W tamtych czasach, kiedy cisza nie była zaśmiecona szumem ruchu ulicznego, przemysłem, maszynami rolniczymi itp. dźwięk ten był doskonale słyszalny i jak dawniej wyznaczał rytm dnia. Mroki czasu zasłoniły już nam pamięć o tym, jak długo funkcjonował na wieży naszego kościoła ten pierwszy zegar. Nie zachowały się wzmianki o jego remontach czy generalnej zmianie mechanizmów i cyferblatów. Być może pierwszego z remontów dokonał ks. proboszcz Kubis w czasie generalnego remontu naszej świątyni na początku XX wieku. Pamiętam, że w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku zegar nie chodził. Dziwne, ale żaden z przedwojennych opisów naszego kościoła nie wspomina o zegarze na wieży, mimo że taki zegar to przecież cud dawnej techniki.

W naszej okolicy najstarszym zegarem wieżowym był zegar na wieży ratusza w Gliwicach. Bryła gliwickiego ratusza ostatecznie powstała w XV wieku. Można przypuszczać, że miała wieżę z zegarem, żeby mierzyć czas. Wieża ta była kilkakrotnie przebudowywana. Kościół farny Wszystkich Świętych nigdy nie miał na wieży zegara - bo był na wieży ratusza.

Następnym najstarszym zegarem w okolicy był zegar na wieży kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Rudach Wielkich. Wieżę

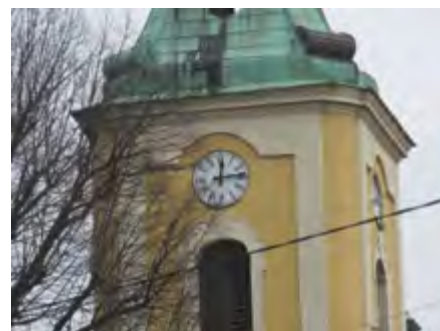
dobudowano do kościoła w 1685 roku. Pewnie wtedy też zainstalowano tam zegar.



Potem był prawdopodobnie zegar z kościoła pw. św. Jakuba Starszego w Sośnicowicach, choć pewności nie mam, bo kościół spłonął w 1780 roku. Czy miał wtedy zegar na wieży...? Po odbudowie w 1794 roku już miał.



Następnie został zainstalowany na wieży nasz pilchowicki zegar w 1780 lub 1781 roku.



Na przedwojennych zdjęciach zegar ma już biały cyferblat – nie tak jak na obrazie z 1837 roku.

Ostatnim zegarem w okolicy był zegar na wieży kościoła pw. św. Marcina w Stanicy. Był to prawdopodobnie rok 1800, kiedy z inicjatywy cysterskiego opata z Rud Bernarda Garbiersa (pochodził z Trynku – dziś dzielnica Gliwic) powstał nowy kościół.

odmierzany naszymi dzwonami kościoła pw. Ścięcia Świętego Jana Chrzciciela od ponad 700 lat, a zegarem na wieży od 242 lat. Odmierza dobre i złe chwile.

Czas... Ile wojen, pożarów, powodzi, nieszczęść dotknęło nas. Ilu ludzi musiało opuścić

gnie odmierzając sekundy, minuty, godziny, dni, miesiące, lata, wieki, odmierzany wschodem i zachodem słońca, porami roku, dźwiękiem dzwonów i wskazówkami zegarów.

Od kilkudziesięciu lat cieszymy się względnie spokojem i dobrobytem, pamiętamy jednak inne czasy. Nic nie zostało dane nam na zawsze. Może właśnie dlatego tak dobrze dzisiaj rozumiemy tragedię Ukrainy. Może dlatego tak szeroko jesteśmy skłonni pomagać w nieszczęściu i gościć braci Ukraińców. A tu za chwilę Wielkanoc. Czas szczególnej zadumy. Wydarzenia ostatnich dni dziwnie jakoś nas do tych Świąt prowadzą. Jakoś łatwiej rozumieć sens ofiary dla innych i tryumfu życia nad śmiercią.

Kłęski, wojny kiedyś przeminą – znów nastanie pokój. Na usta ciśnie się wiersz Leopolda Staffa pt. „Pierwsza przechadzka”, którego fragmenty dedykuję uciekinierom z Ukrainy:

*Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.
Nikt o tym jeszcze nie mówi nikomu,
Lecz wiatr już o tym szepcze po ogrodach.*

*Przejdą dni ciężkie kłęski i rozgromu
I zapomnimy o ranach i szkodach. ...
Będziemy znowu mieszkać w swoim domu,
Będziemy stąpać po swych własnych schodach.*

I z tą wielkanocną nadzieją kończę moją opowieść o czasie...

W czasie Wielkiego Postu
2022 roku 17 marca
Karol Henryk Hrubesz



No i jeszcze jeden zegar. Nie jest w pobliżu, ale dla nas bliski. To zegar na wieży bazyliki Świętej Anny w Górze Świętej Anny.

Jakoś tak dziwnie się składa, że na temat budowy, remontów, renowacji kościołów wiele można odnaleźć. Ale o zegarach na wieżach...? Prawie nic. Kto był konstruktorem naszego pierwszego zegara na wieży? Jaki był jego mechanizm? Kiedy i kto go remontował i nowocześnień? Pamiętam, kiedy w 1985 roku wprowadziłem się do Pilchowic zegar nie chodził. Czy to był zegar jeszcze z czasów Węgierskich?

Czas... Dzisiaj każdy ma na rękę zegarek lub smartwatch, zegar jest w telefonach, prawie na wszystkich urządzeniach powszechnego użytku, co najmniej kilka zegarów w każdym domu. Właściwie nikomu już nie jest potrzebne spoglądanie na wieżę kościelną lub nasłuchiwanie dzwonów. A czasem warto jednak podnieść głowę, spojrzeć i posłuchać, zdać sobie sprawę z pięknej historii naszej świątyni. Zauważymy też krzyż z wężem, który nie ma związku z naszym szpitalem (z wężem Esculapa), a związany jest z jakimś wydarzeniem naszej historii. Jakim? Nie do końca wiadomo jakim. Są jakieś legendy... Czy oddają prawdę? A czas biegnie ciągle

swoje rodzinne strony, by nigdy już nie wrócić, ilu ludzi zginęło na wojnach, ilu zmarło wskutek głodu lub zarazy, ilu ludzi po prostu przeminęło? Ile było dni chwały i totalnych kłesk? A czas bie-



1936 HASELGRUND - 1945 ZERNICA



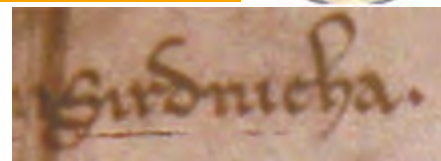
Nazwa naszej miejscowości w okowach totalitaryzmów

„Od tego bieg lawina zmienia po jakich toczy się kamieniach” Cz. Miłosz.

Nie bez powodu rozpocząłem ten artykuł od słów noblisty Czesława Miłosza. Wielu z nas patrząc na zło, które trawi ten odległy i ten bliski świat, żyje w przekonaniu, że nic nie można zrobić. W pojedynkę zazwyczaj trudno zmienić rzeczywistość dotkniętą złem, ale kiedy kilka osób zacznie działać pociągając za sobą innych, wtedy można dokonać wiele. Rozpoznanie czegoś, co jest niewłaściwe, złe czasami jest bardzo trudne. Społeczność - jednostka zanurzona w codzienności często nie jest w stanie dostrzec pewnych spraw, które są przesiąknięte złem, które zaistniały przez zło. Przyczyną tego jest zazwyczaj przekonanie, że jeżeli coś jest od dziesiątków lat i funkcjonuje to znaczy, że jest dobre. To mylne przekonanie utrwała stan zła i czyni je „dobrem” - dobrem pozornym. Zawsze od początku ludzkości zło ubierało i ubiera się w dobro - dobro pozorne i tak zniewala otumaniony rodzaj ludzki. Dwa zbrodnicze totalitaryzmy, które dotknęły świat w ubiegłym stuleciu nie ominęły naszego „małego świata”, naszego miejsca na ziemi, naszej „ŻERNICY” pozostawiając rany, które długo się zabliźniały, a niektóre z nich są otwarte do dziś. Pisze o tym wybitny historyk Żernicy i Nieborowic śp. ks. proboszcz E. Kiesling w swej książce „Utracone dziedzictwo Heinricha Angermanna” (zachęcam tych z naszej parafii, sołectw Żernica i Nieborowice, którzy nie przeczytali tej książki do zakupu jej na plebani). Cechą totalitaryzmów jest bru-

talna, bezwzględna ingerencja we wszystkie aspekty życia jednostki i społeczeństw. Każdy z nas ma swoje Imię i Nazwisko, każdy urodził się w takiej czy innej miejscowości, większość jest przywiązana emocjonalnie do swego imienia i nazwiska, miejsca urodzenia oraz do miejsca, w którym żyje. Naziści niemieccy w 1936 roku, a potem komuniści polscy w 1945 roku brutalnie zaingerowali również w pisownię nazwisk oraz zmianę nazw miejscowości. W pierwszym przypadku zmieniano nazwiska i nazwy miejscowości na brzmiące bardziej niemiecko, a w drugim przypadku na brzmiące bardziej polsko. Część z nas, która interesuje się historią swych rodzin, swych miejscowości wie o czym piszę, jednak dla pełnej jasności podam przykład bardzo mi bliski. Do 1936 roku moje nazwisko „KLOS” było pisane w starych dokumentach „KLOHB”, potem „KLOHS”. Naziści dokonali zmiany na „KLOSS”. Tożpodwójne „S” miało podkreślić niemieckość nazwiska. Potem w 1945 roku próbowano na siłę przy groźbach takich jak wysiedlenie zmienić „KLOSS” na „KŁOS”. Ostatecznie upór i odwaga mojego Vatra (Ojca) doprowadziły do tego, że dalej jesteśmy - jestem KLOS. Myślę jednak o powrocie do starej formy nazwiska „KLOHS”, oczywiście jest to przedsięwzięcie nie takie proste.

Podobnie stało się z nazwą naszej miejscowości, której pierwszy zapis pochodzi z 1246 roku i brzmi „SIERNICHA”. Nazwa ta pochodzi, jak już wielu wiadomo, od starostłowińskiego słowa „Styrni/Zyrni” oznaczającego ziarno. Przez wieki nazwa naszej miejscowości ewoluowała,



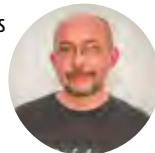
był to proces naturalny. Zawsze, aż do 1936 roku odwoływano się do historycznego, pierwotnego znaczenia. W 1936 roku po raz pierwszy dokonano radykalnej zmiany nazwy naszej miejscowości z Deutsch Zernitz na Haselgrund (Leszczynowa Ziemia). Faktem jest, iż w Zernitz było bardzo dużo leszczyny, ale celem zmiany nazwy było wykreślenie historycznego starostłowińskiego pochodzenia nazwy naszej miejscowości. Podobnie stało się w 1945 roku - zbrodniczy system komunistyczny zmienił „Z” na „Ż”. Miało to na celu podkreślenie „odwiecznej” polskości pochodzenia naszej miejscowości, co oczywiście było i jest kłamstwem. „Ż” zmienia całkowicie historyczne pochodzenie nazwy naszej miejscowości. Polscy komuniści przesiąknięci chorym nacjonalizmem dorobili nawet legendę do nazwy, którą nadali naszej miejscowości.

„Kiedy do miejscowości przybyli pierwsi osadnicy nic nie znaleźli do żeru (jedzenia) stąd nazwali miejsce swego osiedlenia „Żernica”.

Legenda to legenda, w każdej legendzie jest trochę prawdy historycznej, ale ta legenda napisana na potrzeby uzasadnienia zmiany nazwy naszej miejscowości to absurd.

W czasach, kiedy „Żernica” powstała, nie należała do państwa Polan, a literka „Ż” w języku polskim pojawiła się kilkaset lat później. Reasumując akceptacja nawet najmniejszej spuścizny po systemach totalitarnych jest złem. Może warto pomyśleć o powrocie do znaczenia zawartego w pierwotnej nazwie miejscowości. Na początku w pismach nieoficjalnych używając „Z” zamiast „Ż”

Ingemar Klohs
z Żernicy



P.S. „Każde utrwalenie zła ma korzenie w obojętności”

Deutsch Zernitz - nazwę taką naszej miejscowości nadali niemieccy koloniści zaproszeni na nasze ziemie przez książąt śląskich. Zachowanie przez nich trzonu historycznej nazwy świadczyło o poszanowaniu miejsca, w którym przyszło im żyć.



Gruf aus Haselgrund, O.-S.



LEBOSZOWICE

Najstarsze dzieje wg historii ziemi kozielskiej oraz pilchowickich ksiąg parafialnych od 1680 do 1800



Leboszowice – niewielka wieś tuż obok Pilchowic położona nad rzeką Bierawką. Kiedy powstała? Żadne źródła historyczne tego nie podają. Można założyć, że powstała jeszcze przed lokacją Pilchowic. Wg historyków nazwa miejscowości pochodzi od imienia Lewosz. Dlaczego więc mówi się od najdawniejszych czasów Leboszowice, a nie Lewoszowice? Językoznawcy może potrafiliby to wyjaśnić. Wieś rozwijała się przez wieki razem ze Smolnicą i Wielopolem tuż obok Pilchowic, jednak administracyjnie z Pilchowicami niewiele miała wspólnego (jeżeli pominąć wspólnotę parafialną). W swych dziejach Leboszowice (ani Wielopole i Smolnica) nie należały do właścicieli Pilchowic. W swej zasadniczej części Leboszowice usadowiły się nad rzeką Bierawką, która przecinała wieś jakby na dwie połowy.

Pierwsza wzmianka o tym, że istnieje taka miejscowość Leboszowice ujawniła się przy okazji historii Gliwic. Otóż w 1482 roku Jan Bielik von Kornitz – Starosta Górnego Śląska z ramienia czeskiego króla Macieja Korwina, odkupił od księcia Jana Oświęcimskiego połowę miasta Gliwice razem z częścią tzw. okręgu gliwickiego: Wójtową Wsią, Ostropą, Trynką, Ligotą Zaborską, Wielopolem (tym naszym), **Leboszowicami**, Smolnicą, Starymi Gliwicami, Knurówem, Bojkówem, Żernikami, Sobiszowicami, Gieratowicami, Przyszowicami i Krywałdem¹. Z tej lakonicznej informacji wynika, że Leboszowice należały do tego czasu do okręgu gliwickiego. Jan Bielik jednak w tym samym czasie wykupił od książąt oleśnickich ziemię kozielską (księstwo

kozielskie) ze Sławęciami. Tak więc Leboszowice, Wielopole i Smolnica przeszły pod władanie księstwa kozielskiego, a potem weszły w skład księstwa opolskiego Hanusza II (Jana) Dobrego, a po jego śmierci stały się własnością królewską i wydzierżawione Wilhelmowi von Oppersdorffowi. W 1602 dobra te zostały sprzedane – najpierw rodowi von Zwolle, potem rodowi von Henkel, von Flemming, a następnie rodowi von Hoym. W roku 1782 dobra sławęcickie przejmuje książęcy ród Hohenlohe – Ingelfingen. Powstał ogromny kompleks majątków, którego zarząd znajdował się w Bierawie. Książęta zaś rezydowali w Sławęcicach. W skład tych dóbr wchodziły między innymi Leboszowice, Smolnica, Łęg, wiele kopalń i hut².

1 Benno Nietzsche; Geschichte der Stadt Gleiwitz

2 <https://www.k-k.pl/turystyka/slawiecice.html>



Zamek w Sławiećicach³

Leboszowice więc wchodziły w skład ogromnego majątku. Czy więc żyło się tam lepiej na tle innych miejscowości w okolicy Pilchowice? Raczej nie. Leboszowice były dość przeciętną śląską miejscowością. Na pocieszenie mieszkańcom Leboszowic można powiedzieć, że zarządzali nimi książęta, a w Pilchowicach tylko hrabiowie. Jednak jakie to wtedy miało znaczenie dla przeciętnego mieszkańca...?

W zasadzie niewiele można powiedzieć o zwykłych mieszkańcach Leboszowic w tym czasie, choć trochę można się dowiedzieć z ksiąg parafii Pilchowice, do której należały.

W wieku XVII na naszej ziemi nazwiska dopiero zaczęły się kształtować. W metrykalnych księgach chrztu widać jednak, że niektóre przynajmniej już się utrwały. Trudno jednak do końca ustalić, czy było to już nazwisko, czy tylko przydomek – przezwisko. Jednak najlepszym wyróżnikiem, który określał człowieka, był jego wykonywany zawód, nawet jeżeli posiadał już utrwalone nazwisko. Stąd w najstarszych za-

pisach dość łatwo zorientować się kto czym się zajmował. Ten wyróżnik oznaczał pozycję społeczną. Był to ktoś ważny w społeczności lokalnej. I tak mamy:

- w roku 1682

Jan Kaziur (prawdopodobnie młynarz na Kaziorku)

Agnieszka i Adam Pisarz (w niektórych zapisach Scriba - więc Adam był zapewne czymś w rodzaju urzędnika, który potrafił pisać)

Jerzy Molitoris (z pewnością młynarz w Leboszowicach)

Małgorzata Krawcowa (krawcowa lub żona krawca)

- w roku 1683

Jakub Faber z dopiskiem ferrary (prawdopodobnie ślad Kuźni Leboszowskiej –

ktos, kto pracował w Kuźni lub był jej właścicielem). A więc była kuźnia (dymarka?).

Jerzy Kowal – po prostu kowal

- w roku 1686

Zofia Tkaczka - może żona jakiego tkacza lub właścicielka warsztatu tkackiego

- w roku 1694

Grzegorz Myśliwiec – może ktoś, kto miał

upoważnienie do polowań?

- w roku 1696

Grzegorz Kopacz – ktoś może związany z wydobywaniem rudy żelaza?

- w 1727 roku

Błażej Młynarz (z młyna w Leboszowicach)

Od nazwy wykonywanych zajęć wydają się być również nazwiska Gniodorz, Owczorz, Zganiacz, Gornik. Określenia te bądź już nazwiska często pojawiają się w księgach chrztu.

W okolicach roku 1730 pisarz parafialny coraz częściej posługuje się nazwiskami, ale też określa zawód. I tak mamy w 1729 roku Andrasa Skorzyckiego – leboszowickiego karczmarza.

W 1746 Sebastiana Wallera – leboszowickiego młynarza.

W 1751 Mateusza de Manowskiego – szlachcica - pewnie był jakiś majątek (Dominium) w Leboszowicach (w 1688 był wspomniany Henryk Manowski).

Około 1750 roku młynarze z Kaziorka piszą się Smuda, a nie Kaziur. Może to inna już rodzina? Trudno rozstrzygnąć, czy nazwa Kaziur wzięła się od miejsca czy od nazwiska.

3 <https://www.k-k.pl/turystyka/slawiecice.html>



Krzyż w Smolnicy

Na cmentarzu w Smolnicy stoi krzyż ufundowany przez Karla i Ewę Zmuda (pisano też Smuda i Żmuda) w 1882 roku. Czy ta rodzina miała związek z młynem na Kaziorze? Nie udało mi się ustalić. Możliwe. Szukam...

W roku 1755 pojawia się w Leboszowicach Jan Hoschek. Nie wiadomo, co robił w Leboszowicach, jednak musiał być kimś ważnym, bo na chrzestnego wybrał sobie Franciszka Wallera – młynarza z Bierawki. W XIX wieku to nazwisko pojawia się jako nazwisko właścicieli młyna

w Bierawce.

- 1773 Grzegorz Ciesza (prawdopodobnie cieśla z zawodu)
- 1776 Walenty Wroblek fabro ferraro (Kowal lub właściciel kuźnicy)
- 1777 Jerzy Szymeczek młynarz leboszowski
- 1781 Jan Pawliczek żołnierz
- 1782 Szymon Hoschek (?). Później to nazwisko pojawia się jako nazwisko właścicieli młyna w Bierawce
- 1783 Mateusz Michalski młynarz na Kaziorze

- 1787 Józef Schwidergol karczmarsz
- 1794 Carl Michalski młynarz na Kaziorze
- 1800 Jan Szemeczko (Szymeczek, Szymeczek) młynarz leboszowski

Prócz nazwisk, które były charakterystyczne ze względu na to, czym zajmowali się poszczególni mieszkańcy Leboszowic, mamy nazwiska zwykłych ludzi rolników, parobków etc.

Najstarsze z nich to:

- Lisek
- Bella
- Kalemba
- Morowec
- Gawliczek
- Waliczek
- Czech
- Tomiczek
- Tworczok
- Baka
- Frychel
- Pieczuch
- Jamborek
- Szymański
- Zurek
- Spyra
- Tesbier
- Paluszyk
- Rączka
- Czarnecki
- Gorol
- Poplucz
- Zydek
- Tytlik
- Smendra
- Złotoś
- Gonska
- Ziman
- Foit
- Szary
- Jenderka
- Staneczek (Staniczek) – pewnie syn Stanika
- Bawoł
- Skupień
- Pawliczek
- Rak
- Wiercioch
- Okraczka
- Rogoń
- Dragon
- Stanik
- Maczkowski
- Bisula
- Rakoczy
- Nastula

- *Gawlik*
- *Tinger*
- *Chrystek*
- *Wybierek*
- *Achtelik*
- *Maćkowski*
- *Matyszek*
- *Kijonka*
- *Ciura*
- *Mroncz*
- *Księżyk*

Są to najstarsze nazwiska, jakie udało mi się wyszukać od 1680 roku do 1800. Kolejność nazwisk jest od najstarszej wzmianki.

Imiona, jakie nadawano dzieciom w Leboszowicach nie są wyszukane – takie zwykłe jak Agnieszka, Anna, Maria, Zofia, Małgorzata, Marianna, Ewa, Katarzyna, Zuzanna... Jan, Mateusz, Adam, Grzegorz, Szymon, Jakub, Błażej, Andrzej, Urban, Tomasz, Jerzy, Paweł...

Chrzestnych w Leboszowicach wybierano jak najgodniejszych, najczęściej spośród miejscowych. Jednak jeżeli już z innych miejscowości, to ze Smolnicy. Rzadko z Pilchowic czy Wielopola. Niemal wcale z Dolnej Wsi i Wilczy. Czasem z Kuźnicy Starej (Trachy).

Związek Leboszowic ze Smolnicą potwierdzają nazwiska takie same w obu wsiach jak np. Pisula Żydek, Foit, Ziman, Morawiec (Morowec), Bawoł... I pewnie jeszcze inne. Możliwe jest też

to, że do czasu reformacji Leboszowice należały do parafii w Smolnicy i stąd te silne związki, jednak takiego potwierdzenia nie znalazłem.

Niestety w okresie 1680 do 1800 roku nie znalazłem ani jednego powołania kapłańskiego i zakonnego z Leboszowic (ze Smolnicy zresztą też nie). Tytuły do święceń dawali na ogół panowie właściciele ziemi i miejscowości. W Pilchowicach byli Wengerscy, którzy znali swoich mieszkańców. Leboszowice czy Smolnica były bardzo daleko od Sławięcic.

Niemal wszystkie nazwiska są śląsko brzmiące. Wygląda na to, że w Leboszowicach nie było osadników niemieckich – przynajmniej na początku. No, może poza wyjątkiem nazwisk Waller, Hoschek, Ziman.

Ilu mieszkańców liczyło w tym czasie Leboszowice? Bardzo trudno to określić. Może 200, raczej nie więcej. Trudno też określić, kiedy powstał młyn w Leboszowicach i na Kaziorze, chociaż księgi metrykalne dają już nam pewien obraz. Z pewnością można powiedzieć, że funkcjonowały już w 1680 roku, a można przypuszczać, że działały już w średniowieczu.

Działała w Leboszowicach kuźnia. Pisarz parafialny zapisał „Kuźnia Leboszowska”, jakby to była odrębna miejscowość. Była też karczma – skoro był karczmarz. Był folwark, którego zarządcą lub właścicielem był prawdopodobnie szlachcic Manowski. Folwark zatrudniał owczarzy, zganiaczy. Można wnioskować, że hodowano spore stado owiec.

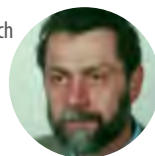
Ciekawą postacią jest Adam Pisarz, czasem pisano go Scriba – być może był na służbie w folwarku i prowadził zapisy gospodarcze.

Jak w innych wsiach w pobliżu uprawiano ziemię i trudniono się drobnym rzemiosłem – krawiectwo, tkactwo. Są ślady również ludzi zajmujących się wydobywaniem rud żelaza – nazwiska Kopacz, Gornik.

Wiele z tych nazwisk, które odszukałem, występuje do dzisiaj w Leboszowicach. Dobrze czasem zdać sobie sprawę z tego, jak głęboko w przeszłość sięgają korzenie rodzin.

Pewnie dużo można jeszcze ciekawych spraw odnaleźć i napisać o Leboszowicach. Zamknąłem moją opowieść w 1800 roku, ale zdaję sobie sprawę z tego, że wiele można jeszcze odszukać i dopisać. Po roku 1800 historia Leboszowic też warta jest opisania. Wszystko otwarte i niezwykle ciekawe.

W Pilchowicach
30 marca 2022 roku
Karol Henryk Hrubiesz



Krzyż w Smolnicy

„ZIELONA IRLANDIA”

- WIOSENNY KONCERT DLA NAJMŁODSZYCH

„Maluchy w krainie dźwięków” – to cykl koncertów, które edukują i rozwijają, wzmacniają więź między dziećmi i rodzicami, uczą jak miło i kreatywnie spędzać czas ze swoją pociechą. Różnorodna, zmienna i dynamiczna muzyka pobudza do ruchu, śmiechu i wspólnej zabawy. Koncerty wspierają rozwój muzycznych zdolności dziecka. Prowadzone są w oparciu o badania i doświadczenie amerykańskiego psychologa muzyki – prof. Edwina E. Gordona. Każdy z koncertów proponuje najmłodszym nowy program, odmienne muzyczne klimaty i wciągające zabawy.

„Zielona Irlandia” to już drugi koncert gordonowski, jaki gościł w Domu Kultury w Żernicy. Poprzedni miał miejsce w grudniu i zachowany był w klimatach

mikołajkowo-świętecznych. Tym razem muzycy filharmonii i orkiestr zabrali uczestników na wyprawę do zielonej Irlandii, w której królowały żywiołowe, taneczne melodie celtyckie i irlandzkie. Było wiele dobrej energii i zabawy. Wiosenny nastrój zaakcentowany był także zielonym ubiorem i to nie tylko dzieci, ale także i ich rodziców. Każdemu udzielił się wiosenny klimat, mimo iż pogoda za oknem nie nastrajała zbyt optymistycznie.

Dzieci miały okazję posłuchać instrumentów, tj. skrzypce, saksofon, tongue drum, flet irlandzki, cajon, dzwonki chromatyczne, deszczownica. To była wyjątkowa okazja!

Na kolejne umuzykalniające spotkanie z Dorotą Banaś i jej muzykami zaprosimy Was latem.



Nie możecie przegapić takiego wydarzenia!!!

Monika Kustra-Polak
GOK Pilchowice



MUZYCZNE AGUGU

W każdą przedostatnią sobotę miesiąca w Domu Kultury w Wilczy odbywają się zajęcia umuzykalniające dla najmłodszych. Prowadząca – Kinga Jureczko-Kowalska – stwarza przestrzeń do swobodnego muzykowania. Stawia na aktywny odbiór muzyki, a nie tylko jej bierne słuchanie. Każde spotkanie jest inne. Uczestnicy mają duży wpływ na przebieg zajęć.

Kinga tylko podąża za dziećmi, podpowiada i inspirowa. Podczas zajęć uczestnicy śpiewają, poruszają się, bawią, grają na instrumentach – tych „poważnych”, tj. skrzypce, tych średnio poważnych – jak ukulele i tych prostych (najlepiej samodzielnie wykonanych), tj. np. marakasy z kolorowego ryżu.

Na zajęcia można dołączyć w każdym momencie,

jednak liczba miejsc jest ograniczona, dlatego należy wcześniej zgłosić się telefonicznie do GOKu 503-978-654. O 9.30 i 10.30 odbywają się zajęcia dla dzieci do 3 roku życia z rodzicami, o 11.30 są zajęcia dla dzieci w wieku 4-6 lat.

Monika Kustra-Polak
GOK Pilchowice





USG • RTG • EMG • TESTY WYSIŁKOWE

Szczygłowie
ul. Aleja Piastów 8C
534-429-009



THERMBUD SP. Z O. O.
ul. W. Sławka 38B, Katowice



Downloaded from <http://ajph.org/> at University of California, San Diego on June 11, 2015

MARKET BUDOWLANY METALCO

MARKET BUDOWLANY:

- materiały i akcesoria budowlane, elektronarzędzia i narzędzia,
 - art. BHP, farby, MIESZALNIK FARB, narzędzia malarskie,
 - system zamocowań, systemy ogrodzeniowe
- ## DZIAŁ OGRÓD:
- nasiona, nawozy, ziemia, torfy, kory, narzędzia ogrodnicze, węże,
 - złączki, zraszacze, pistolety, agrowłóknina,
 - środki do zwalczania gryzoni i owadów



Mikołowski Bank Spółdzielczy
BANKOMBS
Mój Bank Spółdzielczy

EKO KREDYT GOTÓWKOWY

- Atrakcyjne oprocentowanie
- Niska prowizja
- Okres kredytowania aż do 96 miesięcy
- Brak ukrytych kosztów

RRSO wynosi 11,43 % na podstawie przykładu reprezentatywnego:
Kwota kredytu 15.000,00 zł, oprocentowanie zmienne 7,20 % w stosunku rocznym, kredyt spłacany w 36 miesięcznych równych ratach (35 równych rat w kwocie 464,58 zł i ostatnia rata wyrównawcza 466,10 zł). Prowizja za udzielenie wynosi 786,67 zł- płatna w dniu udzielenia. Całkowity koszt kredytu wyniesie 2.513,07 zł. Całkowita kwota do zapłaty wyniesie 17.513,07 zł. Stan na dzień 31-03-2021 r.



INTERNET w GMINIE PILCHOWICE

- profesjonalna sieć teleinformatyczna, - niskie opłaty abonamentowe
- nowoczesne technologie, - umowa na czas nieokreślony

szczególności na www.alkom.info

tel. 507-178-546 e-mail: biuro@alkom.info



GADŻETY REKLAMOWE DLA FIRM

od lat blisko Ciebie



gratisownia.pl

Gadżety reklamowe dla firm

Porcelana • Szkło • Dekoracje



RAFBOL BRW Wolny Sp. J.
44-144 Żernica, ul. Gliwicka 1
tel: 32 239 77 77

GODZINY OTWARCIA:

pn: 9:30 - 17:00
wt-pt: 9:00 - 17:00
sb: 9:00 - 13:00

Zapraszamy!

 @rafbol_1990



PILCHOWICKIE PRZEDSIĘBIORSTWO KOMUNALNE

www.ppk.pilchowice.pl